W NUMERZE: Czerwone punkty ● Paryżanka z Lublina ● Listy o poezji ● Jeszcze o rozwodach ● Spotkania i konfrontacje ● Wiersze młodych poetów ● Kawa „po wiejsku" ● Legenda i fikcja literacka ● W sprawie „matek ● i in.

KAMENA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN – BIAŁYSTOK – KIELCE – RZESZÓW

LUBLIN

15.XII.1962

Nr 23 (261)

ROK XXIX

CENA 2 ZŁ

CZYTELNIA BIBLIOTEKI U.M.C.S.

DO LUDZI PO LUDZKU

WALDEMAR BABINICZ

Moi adwersarze twierdzą niejednokrotnie, iż „problem inteligencji terenowej" należy do sztucznych, wydumanych, że przed wojną nikt się o tę inteligencję nie martwił, a mimo to nie było mowy o jakieś degrengoladzie, że inteligent na dalekim zapleczu zawsze trzymał wysoko godność „rozumnego człowieka", odgrywał dominującą rolę w środowisku, chadzał w powszechnej glorii i szacunku.

Być może, aczkolwiek teza ta wymaga naukowego potwierdzenia opartego na szeroko prowadzonych badaniach socjologicznych. O ile mi wiadomo, badania te nie były prowadzone, a jeśli i były, to ograniczały się do dorywczych, pobieżnie zbieranych informacji przez organizacje, przede wszystkim oczywiście przez ZNP, boć o jakich innych inteligentach można było mówić w latach międzywojennych. Lekarze? Co najwyżej w osadach i małych miasteczkach; wsie, które posiadały ośrodki zdrowia, można policzyć na palcach. Agronomowie? Przeważnie we dworach. To samo, jeśli chodzi o weterynarzy. Kilku pracowników gminnych. To wszystko. Dziś ilość inteligencji wzrasta z każdym rokiem, technika ekonomiczne wypuszczają pracowników GS ze średnim wykształceniem, za kilka lat ludzie ci zastąpią niemal całkowicie starą, niewykwalifikowaną kadrę. Ponadto wszystkim nam wiadomo, iż coraz to przybywają ludzie o nowych kwalifikacjach, nowych umiejętnościach: planiści, zootechnicy, drobiarki, pszczelarze, nawet piekarze z zawodowym wykształceniem i wielu, wielu innych, że nie wymieniam inżynierów-agronomów pracujących w PGR, w ośrodkach doświadczalnych. Już dziś na terenie byłych gmin można jednym tchem wymienić około 80—100 osób ze średnim lub wyższym wykształceniem, a liczba ta ciągle rośnie. Mowa tu o ludziach pracujących zawodowo na wsi. A obok nich mamy coraz częściej absolwentów szkół średnich, którzy powracają na wieś, pracują w gospodarstwach rodziców, wyżywając się w różnych ubocznych, społecznie wykonywanych pracach.

W ciągu trzech lat obserwując uczestników seminariów dla inteligencji terenowej, utrzymując z nimi dość rozległe i żywe kontakty, mogłem wraz ze swoimi współpracownikami wyrobić sąd o postawie tej inteligencji, o jej trudnym życiu, metodach pracy, o podejmowanych próbach integracji.

Wydaje się, iż nie trudności ekonomiczne rzutują na postawę naszej inteligencji terenowej. Nie neguje oczywiście, iż na poziom życia niektórych zwłaszcza grup, jak nauczycieli, pracowników kultury, mają wpływ marne zarobki, ale nie jest to wyłączny powód słabej na ogół aktywności wielu grup inteligenckich. Właśnie skromnie zarabiający nauczyciele, bibliotekarze należą do najbardziej ruchliwych zespołów ludzkich, w wielu pracach społecznych ciągle jeszcze górują nad ludźmi innych zawodów, podczas gdy pracownicy służby zdrowia, weterynarii, służby rolnej, a więc ludzie stosunkowo nieźle, a nawet dobrze zarabiający, bynajmniej nie przodują w pracy społecznej, stosunkowo też nieliczni przedstawiciele tych zawodów dokształcają się nadal. Proszę przejrzeć dane statystyczne. Znaczna ilość nauczycieli i innych pracowników ko. dokształca się często samorzutnie na wyższych uczelniach, grupo skromniejsza jest liczba agronomów studiujących zaocznie, jeszcze mniejsza jest liczba studiujących przodników.

Na seminariach rożnickich usiłowaliśmy sprawdzić, czy informacje przez nas gromadzone odpowiadają prawdzie. Chodziło o zweryfikowanie tezy, czy inteligencja odczuwa dezintegrację, bierność, brak inicjatywy, czy zdaje sobie sprawę, iż nie tworzy w większości wypadków ofensywnego, jednolitego frontu w procesie kulturotwórczym.

Niemal z reguły padały odpowiedzi twierdzące. — Owszem, jesteśmy raczej w defensywie, ale na to składa się szereg obiektywnych warunków. I tu następuje wykaz piętrzących się przed każdym młodym człowiekiem osiedlającym się na wsi trudności. Na pierwszym miejscu jest problem mieszkaniowy. Istotnie ci, którzy znają warunki mieszkaniowe na wsi, bez wahania potwierdzą, iż jest to sprawa niebagatelna. Oczywiście, niewesoło [illegible] w miastach, ale specyfika wsi, w szczególności wschodnich województw nie ułatwia sprawy. Brak kanalizacji nie jest jeszcze sprawą najważniejszą. Gdzie ma mieszkać młody nauczyciel, lekarz, agronom, ekonomista? W chałupie, często kątem, nie rzadko w izbie o glinianej podłodze. Okazuje się, iż szybciej kształcimy nowe kadry, acz jest to proces długi i żmudny, niż budujemy domy. Trzeba zrozumieć psychikę młodego, nowocześnie myślącego człowieka, który wyszedł ze szkoły, z miasta, gdzie napompowano go pewną ilością wiedzy, rozbudzono ambicje, rozłożono perspektywy, a przede wszystkim przekonano, że czasy Judymów minęły bezpowrotnie. Trudno więc pogodzić się nowoczesnemu apostołowi, inżynierowi o, koniu mechanicznym, z rzeczywistością. Toż to uczono go ostatnio, iż odwaga staniała, a rozum zdrożał, że w pracy na prowincji potrzebni są ludzie roztropni, energiczni, przewidujący. Ładunek otrzymany w szkole i w organizacji młodzieżowej jakże często jest bagażem, z którym niełatwo się uporać w środowisku przesycenym dysproporcjami, gdzie co druga chałupa jest twierdzą, którą latami trzeba zdobywać i to bynajmniej nie w pojedynkę.

W tej sytuacji postulat młodej inteligencji domagającej się przyznania długoterminowych pożyczek na budowę domów godny jest rozpatrzenia, a przynajmniej uważnej analizy. W

(Dokończenie na str. 11)

Najmilszych Świąt,
Drodzy Czytelnicy,
życzy Wam
zespół redakcyjny
i administracyjny
„Kameny"

KULTURA w powiecie

JACEK WOJCIECHOWSKI

W Kinie, na wystawie, w bibliotece interesujemy się tym, co placówki te prezentują nam z tytułu swego przeznaczenia. Mówimy wtedy o życiu kulturalnym, o doznaniach artystycznych, rozrywce. Natomiast bardzo rzadko, od święta, zdarza nam się wniknąć głębiej w mechanizm współczesnego życia kulturalnego, a bez tego trudno przecież o właściwe zrozumienie wszystkich jego przejawów. Oczywiście każdy wie doskonale, że naczelnym organem do spraw kultury jest u nas Ministerstwo Kultury i Sztuki, o istnieniu wydziałów kultury wojewódzkich rad narodowych też wiele osób słyszało, ale idę o zakład, iż mało kto orientuje się, jak te sprawy wyglądają w powiecie lub gromadzie.

Resort, który dysponuje wieloma instytucjami, wymaga oczywiście koordynatora na każdym stopniu podziału administracyjnego. Na centralno-wojewódzkich wyżynach poradzono sobie z tą sprawą dosyć gładko, również proste, chociaż krańcowo odmienne rozwiązanie znaleziono w gromadach. Tutaj mianowicie, ze względu na szczupłość kadr, rolę opiekunów kultury dorzucono do licznych

(Dokończenie na str. 12)

A co z tym wyżem?

JERZY DOSTATNI

Tysiąc szkół? Ilu z nas przyzna się dzisiaj, że z ukrytym powątpiewaniem powtarzaliśmy hasło, które początkowo wydawało się nam niezupełnie realne? To już niemal historia, chociaż kalendarzowo minęły zaledwie dwa lata, ale to właśnie w małej wiosce lubelskiej, zagubionej nad granicznym Bugiem, oddawaliśmy dzieciom z wielkim wzruszeniem pierwszą w Polsce szkołę Tysiąclecia. A oto już kronika ostatnich tygodni: w Puławach tupot młodych nóg wybija rytmicznie w budynku, i położeniem, i architekturą, i wykonaniem, i wyposażeniem przypominającym raczej sanatorium: pięć-set, pięć-set...

Ba, gdyby szkoła załatwiała problem całego życia. Niestety to tylko próg, pierwszy, najważniejszy, dźwigający cały ciężar — ale po nim trzeba jeszcze przejść wcale strome, nieraz śliskie, dla wielu tysięcy wielopiętrowe schody. I jesteśmy właśnie w chwili, gdy na te schody zaczynają wkraczać coraz to nowe tysiące młodych ludzi, co roku liczniejsze i bardziej głodne czekającego je życia. Mówiąc prosto — wyż demograficzny w szkołach zaczyna się już przelewać do życia. W ciągu trzech lat najliczniejsze roczniki ukończą szkołę podstawową i staną przed najtrudniejszym pytaniem: co dalej? Na to pytanie jednak nie oni sobie, ale my im musimy odpowiedzieć. I to nie ogólnikami, lecz — niestety — konkretami. Niestety, bo odpowiedź, gdybyśmy ją musieli dać w tej chwili, nie byłaby prosta.

Młodych ludzi w wieku 14—17 lat nazywamy oficjalnie młodocianymi. W dniu 31 grudnia 1960 r. mieliśmy ich na terenie województwa lubelskiego 101.435. Ale już w ostatnim dniu pięciolatki będzie ich 146110. Jakże olbrzymi skok — 45 tysięcy więcej w ciągu pięciu lat. No cóż, zbieramy owoce tego, czym szczyciliśmy się w pierwszych latach po wojnie, do czego nawet mniej lub więcej oficjalnie zachęcaliśmy: biologicznej regeneracji. Inni mówią, że to brak poczucia odpowiedzialności, jeszcze inni, że to wynik słabego, ograniczonego tylko do pewnych kręgów uświadomienia seksualnego. Zresztą mniejsza o powody, chodzi o fakt.

W Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego przeglądam duże arkusze, pokryte setkami cyfr. Układają się równiutko w poziomy i piony, skosy i schodki, dodane i pomnożone we wszystkich możliwych kierunkach. Na jednych niby to skromny napis: „Bilans siły roboczej województwa lubelskiego", na drugich tą samą maszyną: „Bilans młodocianych". W małym pokoiku na drugim piętrze gorąco i nieco duszno. Trzy pracowniczki co chwilę podciągają nogi, dla których zabrakło wolnego miejsca. Siadam przy stole w ciemnym kącie i notuję ciekawsze cyfry. Co chwilę ktoś wchodzi i drzwiami uderza mnie w plecy. Oczywiście przeprasza, ja też — ale to nie zmienia postaci rzeczy. Ciasno jest w pokoju instytucji, rozdzielającej miliardy i decydującej o miliardach produkcji — cia-

(Dokończenie na str. 5)

CZERWONE PUNKTY

ELŻBIETA ROSIAK

„Kiedy dzisiaj wspominam te czasy, kiedy przypominam sobie okres, w którym wciągnięto mnie do organizowania pierwszej, masowej ucieczki, stwierdzam nie bez zdziwienia, że od tej chwili zaczynają zacierać się ponure wizje okrucieństwa i sadyzmu, a na pierwszy plan wychodzą właśnie te wydarzenia, które miały związek z organizowaną działalnością. Widocznie ona była głównym motorem i siłą".

Tak, to była istotnie najważniejsza działalność „czerwonych punktów", która podtrzymywała na duchu więźniów Majdanka, każąc im nie tylko czekać na wolność, ale czynnie przeciwstawiać się okupantowi. To ona poprowadziła kanałami ściekowymi więźniów do wolności, a później w szeregi partyzanckie. Tej właśnie sprawie poświęcił Tadeusz Czajka najwięcej miejsca w swych wspomnieniach z Majdanka pt. „Czerwone punkty"*.

Co to jednak było te tzw. „czerwone punkty". Autor wyjaśnia to czytelnikowi w trakcie „przemowy" blokowego do grupy nowo przybyłych więźniów, streszczając się do tego, że oprócz numeru, który więźniowie musieli przyszyć na spodniach i marynarce, dostali również kółka — na białym tle czerwony punkt, które trzeba było umieścić pod numerami. „Fluchtpunkt" albo „Rotenpunkt" otrzymali ci więźniowie, którzy próbowali ucieczek, i ci, którzy wymagali specjalnej „opieki". W stosunku do „czerwonych punktów" stosowano były specjalne obostrzenia.

Bogaty jest wachlarz zagadnień, które porusza autor w swej książce: obok spraw bytowych więźniów spotykamy się z oceną ich moralności, życiem kulturalnym, ruchem oporu, a nawet urazami psychicznymi, które pozostają byłym więźniom na całe życie.

Ciekawie przedstawia Czajka sprawy narodowościowe na Majdanku, chodzi tu głównie o Ukraińców, z którymi mieszkały „czerwone punkty". Ukraińcy wywodzili się z armii Własowa, która walczyła po stronie niemieckiej. Przyjęli oni Polaków niechętnie, co jest zupełnie zrozumiałe, gdyż konsekwencją przyjęcia nowych „lokatorów" było ścieśnianie się na pryczach. Niemcy wobec Ukraińców byli stosunkowo bardziej łagodni, natomiast dla Polaków bezwzględni, dlatego też w bloku często powstawały kłótnie. Autor sądzi, że Niemcy celowo umieścili razem przedstawicieli dwóch narodowości, ale przeliczyli się. Polacy nie chcieli walczyć z Ukraińcami, przeciwnie, zcementowali się wewnętrznie, a na czoło wysunęli Witka Piątkowskiego — dobrego boksera, znającego język rosyjski, który dzięki wspomnianym umiejętnościom albo słowem, albo czynem zapewniał sobie autorytet. Czajka podkreśla, że Ukraińcom dokuczał głód i ciążyła zdrada, znaleźli się oni w uliczce bez wyjścia, a tak przecież myślą ludzie zaszczuci, bez widoków na przyszłość.

Zwartej grupie Polaków, którą łączyły wspólne dążenia, przeciwstawia Czajka jednostkę — Greka, człowieka osamotnionego tragicznego, nie rozumiejącego żadnego języka, którego przymusowa izolacja wtrąciła w szeregi tzw. „gamli".

Gamle nie wypowiadali żadnego słowa, wydawali nieartykułowane dźwięki, byli chorzy i niedołężni. Wśród nich kręcił się Cygan z kawałkiem chleba i młotkiem. Chleb służył mu do tortury fizycznej i moralnej, a młotek — do wybijania złotych zębów, by na czas dostarczyć je Herr Schmutzowi.

Ciekawe obserwacje poczynił autor także w stosunku do tzw. „gajzli" (najobszerniejsze i najbardziej wnikliwe, jeżeli weźmiemy pod uwagę dotychczasowe książki o problematyce obozowej dotyczącej Majdanka), którzy rekrutowali się z chłopów wysiedleńców, czasem zakładników. Czekali oni na zwolnienie, na nic nie narzekali, nie starali się przystosowywać do warunków życia obozowego, a po pewnym czasie zasilali szeregi gamli.

Nieludzkie obrazy życia gamli i gajzli uzupełniają wprost szekspirowskie opisy pobytu Czajki w krematorium, gdzie „jedna porcja" ciał była akurat w piecach, a w pobliżu „trzeszczał młynek do mielenia kości". Na tym makabrycznym tle obozowym, kiedy wśród więźniów coraz wyraźniej zdobywała sobie zwolenników teza, mówiąca, że komin krematorium jest jedyną drogą na wolność, Czajka potrafi z całą stanowczością jej zaprzeczyć i pokazać, że na Majdanku znajdują się tacy, którzy nie oddadzą swego życia bez walki.

Kierowniczą rolę w tej walce wzięła na siebie konspiracyjna organizacja „Orzeł", działająca na terenie obozu pod przewodnictwem Pawła Dąbka i Kazimierza Malińskiego. Z inicjatywy Dąbka i Malińskiego oraz ich towarzyszy zaplanowano szereg akcji i zaopatrzono się w nożyce do cięcia drutu, nawiązano kontakt z organizacjami działającymi na terenie Lublina, opracowano plan wyzwolenia więźniów, ale niestety ze względu na wzmocnienie systemu ochrony obozu przez Niemców nie można było zrealizować tego pięknego przedsięwzięcia.

Nadszedł jednak moment brawurowych ucieczek. Na wolności znaleźli się Dąbek, Maliński i Osiński. To oni organizowali ruch oporu i głosili tezę, że wroga nawet w warunkach obozowych można pokonać. Nie chcieli pozostać tylko teoretykami i dali dowód, że i w praktyce do nich należy pierwszeństwo. Ten piękny przykład musiał podziałać. W niedługim czasie w ślady poprzedników poszła inna grupa, której droga do partyzantki prowadziła przez kanały ściekowe. W tej grupie znalazł się również i autor wspomnień.

Czytelnik pasjonuje się tymi fragmentami „Czerwonych punktów", które opisują ucieczkę, gdyż ukazani są tu ludzie niezwykle odważni w swych planach i realizacji, których czyny zostały utrwalone, jak na taśmie filmowej.

Książka kończy się sceną spotkania uciekinierów (po licznych perypetiach) z Pawłem Dąbkiem w szeregach partyzantów pod wodzą Jastrzębia. Wczorajsi więźniowie znowu spotkali się ze swoim przywódcą, by teraz, już na wolności kontynuować wspólną walkę z okupantem.

„Czerwone punkty" są niewątpliwie pozycją wzbogacającą naszą wiedzę o Majdanku, ale nie to jest najistotniejsze. Sprawą największej wagi jest ukazanie pierwiastków humanitarnych, tkwiących — mimo wszystko — w więźniach, ich optymizmu, brawury i przede wszystkim walki. Tej pięknej i głębokiej treści podporządkowana jest również nienaganna forma książki, wielka kultura językowa i literacka, doskonała symbolika.

Ktoś mógłby zrobić zarzut, iż ostatnie rozdziały dotyczące ucieczki są silnie rozbudowane, ale wydaje mi się, że należy to tłumaczyć nie słabością kompozycyjną „Czerwonych punktów", tylko właśnie celowym wysunięciem na pierwszy plan sprawy najistotniejszej — sprawy ucieczki z miejsca, gdzie „ludzie ludziom zgotowali ten los".

O martyrologii, torturach i całym systemie zabijania najpierw godności w człowieku, a później samego człowieka, istotnie napisano już bardzo dużo. Literatura powojenna przyniosła dziesiątki, jeżeli nie setki pozycji, które ukazały całą grozę hitlerowskich obozów zagłady. Temu głębokiemu pesymizmowi i uczuciu niechęci (jeżeli nie czegoś więcej), jakie ma czytelnik, zwłaszcza ten, który pamięta dobrze okupację, do problematyki obozowej — Czajka przeciwstawia wiarę w człowieka, w jego niepożytą wprost siłę sprzeciwiania się złu, jego umiłowanie wolności, nienawiść do wroga ojczyzny, która pozwala nawet w najgorszych warunkach wysoko trzymać głowę i walczyć, walczyć nie tylko o to, aby z godnością umrzeć, jeśli tak każe los, ale o to, by do tego nie dopuścić.

Książka Czajki ma znaczenie nie tylko jako dokument (zdjęcia uciekinierów, mapka tras ucieczki, lista „czerwonych punktów" — to są materiały dużej wagi), równie cenna jest ona jako poglądowa lekcja wiary w człowieka, wiary w obywatela społeczeństwa polskiego, którego nie potrafiły i nie potrafią nigdy złamać żadne hitlerowskie systemy.

* Tadeusz Czajka: Czerwone punkty, Lublin 1962. Wydawnictwo Lubelskie, s. 183, 1 nlb + 2 wkładki ilustr. Cena 18 zł.

BIBLIOTEKI WIEJSKIE NA START

STANISŁAW KOZŁOWSKI

BIBLIOTEKI wiejskie powstałe na wsi jako samodzielne instytucje, nie związane są dotychczas z istniejącymi i już wrosłymi w społeczność wiejską instytucjami społecznymi. Powiązanie bibliotek powszechnych z biblioteką powiatową czy wojewódzką jest większe niż z samą wsią. Zjawisko to wpływa ujemnie na ich autorytet w środowisku. Do podniesienia autorytetu nie przyczynia się fakt, że jest jeszcze w województwie lubelskim 63 proc. bibliotekarzy gromadzkich nie posiadających średniego wykształcenia ogólnego lub bibliotekarskiego — i fakt, że w świadomości ogółu rola książki jest albo niezbyt wyraźnie sprecyzowana, albo ograniczona wyłącznie do roli rozrywki wypełniającej wolny czas po pracy. Ponieważ na wsi tego wolnego czasu za wiele nie ma, biblioteki schodzą na margines życia, a tym samym ich znaczenie w środowisku maleje.

Jaka jest istotna rola i jakie są zadania bibliotek na wsi?

Pierwszym i podstawowym zadaniem bibliotek jest zapobieganie analfabetyzmowi społecznemu i kulturalnemu, który grozi wsi nawet w razie istnienia w niej pełnej 7-klasowej szkoły podstawowej. Poprzestanie na wykształceniu podstawowym jest w dzisiejszej sytuacji społecznie szkodliwe. Wykształcenie to musi być uzupełnione samokształceniem lub zorganizowanymi formami dokształcania, rozwijającymi świadomość społeczną chłopa i jego umiejętności gospodarowania.

O tym, że tradycyjna wiedza rolnicza, przekazywana z ojca na syna, dzisiaj nie wystarcza, świadczy dobitnie poziom naszego rolnictwa i słaba wydajność z hektara (w NRF średnia wydajność 4 zbóż z hektara wynosi 38 kwintali, w Polsce 18,5, a województwie lubelskim zaledwie 17,8 kwintala).

Biblioteki muszą więc nie tylko uzupełniać, pogłębiać i kontynuować wykształcenie ogólne, ale również służyć rozwojowi oświaty rolniczej, technicznej i sanitarnej. Na tym właśnie polega ich drugie zadanie.

Trzecie zadanie bibliotek na wsi polega na skupianiu wokół siebie szerokiego grona aktywu wiejskiego.

Czy biblioteki są w stanie wypełnić same te zadania?

Z praktyki wiemy, że nawet wtedy, gdy starają się być czymś więcej niż punktami wypożyczania książek, niewiele z ich starań wychodzi, jeżeli pracują w oderwaniu od środowiska. Ogrom zadań stojących przed bibliotekami przerasta skromne możliwości księgozbiorów gromadzkich bibliotek publicznych i możliwości ich kierowników.

Wrastaniu bibliotek w społeczność wiejską przeszkadza wybitnie ich wyizolowane stanowisko na wsi, ich brak powiązania z instytucjami już zasymilowanymi przez wieś. Tymczasem nie należy zapominać, że biblioteki zarówno na wsi, jak i w mieście, są tylko jednym z wielu ogniw działalności oświatowej i kulturalnej i będąc takimi nie powinny tracić związku z całym łańcuchem i przeradzać się w jakiś twór samoistnie działający. Byłoby to szkodliwe dla całego łańcucha, oznaczałoby jego przerwanie, a przerwy w działalności oświatowej (która jest zawsze działalnością wychowawczą) są bardzo niepożądane. Istnieje więc konieczność współpracy ze środowiskiem, z wszystkimi instytucjami, które w nie wrosły i zdobyły już trwałą pozycję, lub dopiero ją zdobywają.

Trzeba tu zaznaczyć, że jest to właściwie minimum, którego należy wymagać.

Instytucje oświatowe i kulturalne działające na wsi są jeszcze bardzo słabe i z pozoru mało atrakcyjne. Na pewno celowe i pożądane jest łączenie biblioteki ze szkołą jako ośrodkiem życia kulturalnego środowiska w sensie terytorialnym, lokalowym i w sensie wzajemnego uzupełniania swoich funkcji.

Jedyną słuszną zasadą jest skupienie instytucji mniej żywotnych wokół takich, które naprawdę promieniują na środowisko i mają siłę atrakcyjną. W przypadku powiatu lubartowskiego takimi instytucjami są szkoły jako ośrodki pracy k. o. w środowisku.

Z nadesłanych materiałów, obserwacji, oraz przeprowadzonych przez niżej podpisanego osobistych rozmów z Inspektoratem Oświaty oraz Powiatową i Miejską Biblioteką Publiczną w Lubartowie, wynika, że dotychczasowe współdziałanie bibliotek gromadzkich ze szkołami jako ośrodkami życia k. o. w środowisku wiejskim było stosunkowo niewielkie. Zarzut ten nie dotyczy jedynie bibliotek gromadzkich w Ludwinie, Abramowie, Firleju, Brzeźnicy Bychawskiej, Palecznicy, Łucce i Samoklęskach, które poprzez swoją aktywność potrafiły nawiązać współpracę ze szkolnymi ośrodkami pracy kulturalno-oświatowej.

Trzeba przypomnieć, że podstawą każdego współdziałania jest aktywność ze strony bibliotek. Nie mogą one czekać, aż ośrodek pracy k. o., świetlica, kółko rolnicze, uniwersytet powszechny, koło ZMW zwróci się z propozycją współpracy czy z prośbą o pomoc.

NALEŻY zdawać sobie sprawę z tego, że nie wszyscy wiedzą o możliwościach bibliotek gromadzkich, o konieczności oparcia pracy oświatowej o książkę. Obowiązkiem zatem bibliotekarzy jest propagowanie na możliwie szeroką skalę zawartości księgozbioru i zachęcanie do czytelnictwa ogółu społeczeństwa, organizacji i instytucji społecznych poprzez stosowanie wyszukanych i jak najbardziej dostępnych, atrakcyjnych i nowoczesnych środków oddziaływania.

Oczywiście wspólny plan pracy jest etapem dalszym, który może być osiągnięty tylko wtedy, gdy pierwsze próby współpracy zdadzą egzamin. Podkreślić tu należy trwały charakter tych kontaktów. Nie chodzi bowiem o taką współpracę, jak np. wypożyczenie bibliotece lokalu ośrodka (szkoły) na spotkanie z pisarzem lub udzielenie jednostronnej pomocy ze strony biblioteki organizatorom akademii październikowej w postaci tekstów do części artystycznej lub referatu.

Chodzi o wspólne działanie, o połączenie środków i metod.

Przypuśćmy, że jest wieś w wyjątkowo dobrej sytuacji: posiada przyszkolny ośro-

(Dokończenie na str. 7)

Czyny naprawdę wspólne

KRZYSZTOF WÓJTOWICZ

Było to w roku 1960, a właściwie trzeba by sięgnąć do roku 1958. Wtedy to właśnie na wiosnę, 12 kwietnia, do Zarządu Obwodowego Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich w Ełku przyszło pismo od sekretarza Zarządu Okręgu TRZZ w Białymstoku — Aleksego Kozioła. To niemal historyczne dzisiaj pismo (przechowywane pieczołowicie przez długoletniego działacza TRZZ Jerzego Cichowicza) traktowało o założeniach konkursu: „Na czyn społeczny wsi i miasteczek Ziem Zachodnich". W nim też pan Cichowicz, który był wtedy członkiem Zarządu Obwodu TRZZ w Ełku, przeczytał:

Celem konkursu jest pobudzenie aktywności mieszkańców gromad i małych miasteczek ziem zachodnich w rozwiązywaniu wspólnym wysiłkiem najpilniejszych potrzeb swego środowiska. Następnie pogłębienie więzi społecznej wśród ludności tych wsi i miasteczek, umacnianie regionalnego patriotyzmu mieszkańców ziem zachodnich.

Te założenia trafiły na dobrze przygotowany grunt. Znacznie wcześniej zebrała się w Ełku grupa ludzi dobrej woli, którzy samorzutnie przystąpili do uprzątania miasta z powojennych ruin. Czyn społeczny miał już więc pewne tradycje. Ale to były początki inicjatywy, pełne zapału, ale nie zawsze jak należy zorganizowane i dlatego nie w pełni efektywne. Wysiłki społeczne szły sobie jednym torem, a poczynania porządkowe władz miejskich innym.

Aż przyszedł rok 1960 i z nim sprawy najważniejsze.

23 kwietnia 1960 roku do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Ełku wpłynęło pismo z Zarządu Powiatowego TRZZ stanowiące jeden z najciekawszych dokumentów w sprawie praktycznego na co dzień układania się stosunków między organizacją społeczną a organami administracji państwowej.

Zanim przejdę do jego skomentowania, przytoczę in extenso pewne jego sformułowania. Między innymi czytamy:

Ełk w 15 lat po zakończeniu wojny nie usunął gruzów dotychczas oszpecających miasto. Szczególnie chodzi o obiekty przy ulicy Wojska Polskiego — głównej ulicy przelotowej naszego miasta, gdzie są jeszcze skupowiska gruzów, a szczególnie przy wjeździe do miasta obok mostu na rzece Ełk. Zarząd Powiatowy Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich i Północnych zwraca się z prośbą do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej o rozpatrzenie sprawy usunięcia tych rumowisk przez zorganizowanie czynów społecznych, względnie przez opłatę brygad z posiadanych na ten cel kredytów.

Jednocześnie Zarząd TRZZ zwraca uwagę na przedłużenie ulicy Żeromskiego. Tą drogą społeczeństwo naszego miasta często chodzi na spacer. Podczas deszczu jest tutaj pełno kałuż i błota, natomiast podczas suszy niemożliwy kurz. Również boczne ogrodzenie tej ulicy przedstawia obskurny widok. Czy nie należałoby doprowadzić tę ulicę do porządku i wybrukować?

W swojej dość szerokiej praktyce społecznego działania z tego rodzaju dokumentem spotkałem się może nie po raz pierwszy, ale przecież w tym wypadku nie hasło najbardziej frapuje — tylko odzew. I właśnie w Ełku — ten odzew jest najważniejszy.

Organizacja społeczna jasno i wyraźnie formułuje swoje postulaty i przedstawia propozycje odpowiednim organom władzy państwowej. Iluż tu urzędników po tego rodzaju stawianiu sprawy obraziłoby się na ludzi, którzy, ich zdaniem, nie mając doświadczenia w sprawowaniu władzy, zwracają się z żądaniami i wskazują na to, czego ta władza jakoś do tej pory nie dostrzegła. Ileż byłoby obrazy majestatu, zarzutów przekraczania kompetencji, ba... podrywania autorytetu. Z niejednym komentarzem tego rodzaju zetknąłem się już gdzieniegdzie. Na pewno zdarzyć by się to mogło w wielu miejscowościach, ale nie w Ełku.

Pani Alicja Napieralska, sekretarz Zarządu Powiatowego TRZZ, informuje mnie, co było potem.

— Pismem tym bardzo wszyscy się przejęli — zarówno w Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, jak i Powiatowej. Szczególnie obaj przewodniczący: Powiatowej Rady — Józef Sapierzyński, i Miejskiej Rady — Mieczysław Wyszczelski. Oni to głównie wraz z całym naszym zarządem powiatowym przy współudziale prezesa Zarządu mgr Czesława Supińskiego, Wiesławy Karczewskiej, Jerzego Cichowicza i Zenona Świtaja — byli współautorami wydanej w czerwcu 1960 roku odezwy do społeczeństwa.

Zenon Świtaj — członek Egzekutywy KP Partii, obecnie zastępcą przewodniczącego PRN w Ełku pamięta dokładnie treść tego dokumentu:

„To było w sprawie konkursu: ziemie zachodnie i północne — piękne, gospodarne i kulturalne. Nowością tutaj było, że głównym organizatorem tej akcji było Towarzystwo Rozwoju Ziem Zachodnich przy współudziale Prezydiów obu rad — Powiatowej i Miejskiej. Właśnie tak, a nie na odwrót. Uważaliśmy, że absolutnie nie

(Dokończenie na str. 10)

Paryżanka z Lublina

Pierwsza Polka — laureatka Prix Goncourt

TADEUSZ DOMAŃSKI

W TEJ chwili Anna Langfus nie pisze nic. Po wydaniu „Les bagages de sable" nastąpiła przerwa. Wizyty dziennikarzy francuskich, zagranicznych, radio, telewizja, wywiady, reportaże... Atmosfera, która pisaniu nie sprzyja. Co kilka minut dzwoni telefon i ktoś prosi o przyjęcie go „na kilka minut". Prix Goncourt robi z człowieka gwiazdę i prasa musi być przez pewien czas pełna jego zdjęć, wypowiedzi.

Dzień jest pogodny i duży *living* Anny Langfus zalany jest słońcem. Pisarka mówi znów o wojnie. Rozpakowuje powoli, z uwagą bagaże przeżyć i wspomnień, od których chciałaby uciec, a o których nie przestaje pisać.

— Chodziłam do Liceum Unii Lubelskiej w Lublinie. Po maturze wyjechałam do Belgii na studia. Wstąpiłam na Ecole Polytechnique Textile w Verviers. Na wakacje przyjeżdżałam do Polski i tak zaskoczyła mnie wojna. Rozpoczęły się wszystkie okropności, polowanie na człowieka...

Siedzimy na brzegu kanapy słuchając tych wspomnień, które nasze przybycie wywołało. Zdaje mi się w tej chwili, że podobni jesteśmy do widm Jacka i rodziców, które nawiedzają uparcie młodą bohaterkę powieści Anny Langfus. Wracają codziennie wieczorem nie chcąc uwolnić dziewczyny od obsesji okupacyjnych lat. Lat, podczas których wszystkie dawne nadzieje, ideały i marzenia waliły się w gruzy. Do 17 września 1939 roku problem narodowościowy nie istniał dla młodej studentki w ogóle. Wychowała się w środowisku bardzo patriotycznym, czuła się Polką. Dopiero hitlerowcy zrobili z niej Żydówkę, zapędzili do getta. I wtedy nadeszły dni, kiedy ludzie okazali się inni. W najtrudniejszych sytuacjach, w niebezpieczeństwie, podczas dni, kiedy śmierć groziła każdej chwili, bez przestanku, widziała Anna wyraźnie i odróżniała dobrych od złych. Byli tacy, którzy ratowali innym życie. Ofiarnie, narażając się. Ale byli i źli. Dużo złych, którzy sprzedawali innego człowieka bez skrupułów, często za pieniądze.

Co pewien czas trzaska aparat fotoreportera. Anna Langfus nie przestaje mówić. Gdy opowiada o swych rozczarowaniach, o charakterach ludzkich, które nie wytrzymały ogniowej próby wojny, przypomina się niejedna karta jej powieści...

„— Patrz, Julka, patrz na te wszystkie domy. Za tymi oknami są ludzie, którzy śpią w swych łóżkach. To są mordercy. Każdy z nich śpi z trupem pod łóżkiem. Z ładnym trupkiem, który ma jego własną twarz, tę samą, z którą człowiek wczoraj mówił, uśmiechał się, jadł. Rozumiesz? Nie, nie, ty nie rozumiesz. Ludzi, którymi byli wczoraj — zabili. Niebezpieczne dla dzisiejszego człowieka, rozumiesz? Zabili, udusili, a potem wpakowali trupa pod łóżko, aby go nie widzieć." (*„Le sel et le soufre"*).

„— Widziałam człowieka, który stał na drugim człowieku, leżącym na ziemi, jedną nogą na żołądku, drugą na gardle. Trzeci rozkazywał mu: „Naciskaj, duś. Daję ci dziesięć minut, aby umarł. Jeśli nie, to ty umrzesz." I człowiek naciskał, starał się. Przestawił nawet nogi. Prawą, silniejszą, postawił na gardle ofiary, aby poszło szybciej. Widziałam później tego samego człowieka. Opatrywał rannych, dzień i noc, a gdy miał kawałek chleba, dzielił się nim. No i teraz sami osądźcie fakty." (*„Les bagages de sable"*).

Czy takie obrazy można zapomnieć? Czy można wyrwać się z kręgu takich wspomnień.

Nie — mówi Anna Langfus — Zdaje mi się, że człowiek, który przeżyje to, co ja przeżyłam, nie może już znaleźć dla siebie miejsca. Ale to sprawa indywidualna, to zależy od jednostki. Są ludzie, którzy potrafili zapomnieć. Żyją i robią interesy. Nawet Żydzi. Przeszłość dla nich minęła... Gdy wybuchła wojna, byłam bardzo młoda. Na życie patrzyłam ze skrajnym entuzjazmem. I dlatego wojna wywołała u mnie taki szok...

Teraz Anna Langfus mówi po polsku. Powoli, zastanawiając się nad doborem słów. Czuje się, że nie ma tego języka w codziennym użyciu, ale polszczyzna jej jest ładna i bogata. Ten sam styl zdań, naturalnych, a jednocześnie pełnych precyzji, którym porywa czytelników swych powieści.

— Nie miałam przejścia z dziedzińca do wieku dojrzałego. Najczystszym, najpełniejszym okresem życia było dla mnie dzieciństwo. Resztę zabrała mi wojna... Dzieci i młoda bohaterka z mej powieści — to ucieczka przed tym, co mnie prześladuje...

— Pamięta Pani Krakowskie Przedmieście?

— Czy pamiętam Krakowskie Przedmieście... Ulicę, która była Polami Elizejskimi Lublina...

Fala młodzieży w granatowych mundurkach szkolnych przepływa nieustannie w obu kierunkach przez całe popołudnie. Oto idzie gromadka „Unitek" w beretach, z niebieskimi i czerwonymi tarczami na rękawach. Jedną z nich jest Anna Langfus. W przeciwnym kierunku idą chłopcy. Uczniowie liceów Staszica, Zamoyskiego, Batorego. Obie grupki patrząc na siebie z daleka, obserwują się bardzo uważnie. Trwa to już od wielu tygodni. Nie znają się, ale wiedzą o sobie już bardzo dużo. Anna wpatrzona jest w Maćka... Pierwsza dziecinna miłość... Maciek przygląda się Annie. Jest nie tylko oczarowany jej urodą. Wie, że Anna pisze... A w liceum Unii Lubelskiej wiedzą o tym wszyscy. Dyrektorka wydała Annie Langfus pozwolenie (w drodze wyjątku!) na publikowanie w czasopiśmie młodzieżowym „Filomata" prób jej młodzieńczej imaginacji i ciekawie zapowiadającego się talentu. Zaczęła pisać mając 15 lat. Nie mogła wówczas przewidywać, że będzie autorką dwóch powieści francuskich: „Le sel et le soufre" i „Les bagages de sable", obciążonych pamięcią najpotworniejszych cierpień, na jakie człowiek może być wydany. Nie mogła też przewidywać, że Maciek będzie jednym z pierwszych rozstrzelanych przez Niemców w Lublinie.

— Romildo, oficer włoski, który uratował mi życie we Lwowie, przypomniał mi, że w czasie wojny pisałam opowiadania dla dzieci. Powiedział mi to poprzez telewizję... Podobno bardzo ładne opowiadania. Nie pamiętam tego... Z czasu wojny mam wielkie luki w pamięci. Natomiast z mej twórczości dziecinnej coś mi się zachowało. Tak, zaczęłam pisać mając piętnaście lat. Postaram się to Panu odszukać.

Po przyjeździe do Francji próbowała Anna Langfus odnaleźć owego oficera włoskiego Romildo. Jednakże na wszystkie jej próby przychodziła odpowiedź: poległ. Anna wspominała go z wdzięcznością i ze szczerą sympatią, wiadomość o jego śmierci była dla niej wyjątkowo przykra. Dopiero ostatnio telewizja włoska stwierdziła, że Romildo żyje. I wtedy nastąpiło przedziwne spotkanie, zorganizowane przez telewizję francuską i włoską. Romildo mówił z Rzymu, Anna mówiła z Paryża. Widzieli się na ekranie telewizyjnym, poprzez 1300 km odległości. I oboje poznali się po 20 latach.

Gdy po zakończeniu wojny (wyzwolona została w Poznaniu) wróciła do Lublina, nie odnalazła już nikogo. Wymordowana została cała jej rodzina. Nie może sobie wyobrazić chodzenia po ulicach tego miasta, w którym nikt z jej najbliższych nie ocalał.

W dorobku pisarskim Anny Langfus znajduje się kilka sztuk teatralnych. Jedną z nich — „Les Lepreux" — wystawił teatr znanej uczelni paryskiej L'Alliance Française. Ale dramat pozostał już daleko w przeszłości. Anna Langfus myśli teraz już tylko o powieściach. Pierwsza z nich, „Sól i siarka", wywołała olbrzymi rozgłos. Druga — „Bagaże piasku", uczyniła z niej laureatkę jednej z najważniejszych nagród literackich świata — Prix Goncourt. Anna Langfus jest czwartą z kolei kobietą, a pierwszą Polką, która zdobyła to niezwykle ważne odznaczenie. Jej poprzedniczki to Elza Triolet, Simone de Beauvoir i Beatrix Beck. Pierwsza z nich jest Rosjanką z pochodzenia, trzecia — Belgijką. Talent Anny Langfus znalazł formę, w której najlepiej może się wypowiedzieć. Jest nią niewątpliwie powieść.

— W tej chwili nic nie piszę, ale mam projekt nowej powieści. Jeszcze o wojnie... Będzie to historia mężczyzny i dziecka.

Pokazując nam swe mieszkanie, z którego okiem widać całe nowo powstałe miasto Sarcelles, przedmieście Paryża (jesteśmy na 10-piętrze), opowiada Anna Langfus o początkach swego pobytu w Paryżu. Mieszkała koło Porte de la Vilette. Pracowała jako profesor matematyki. Dzisiaj może zająć się wyłącznie literaturą. Porzuciła wszystkie inne zajęcia, chociaż matematykę bardzo lubi. Ale, mówi, nie jest literatką „avant tout". Zajmuje się troskliwie swą córeczką i uważa, że przede wszystkim jest matką. To jest dla niej ważniejsze nawet niż pisarstwo i wszystkie nagrody.

Paryż.

Listy o poezji (13)

POSPOLITE RUSZENIE POEZJI

ANNA KAMIEŃSKA

„Mam lat dziewiętnaście, mieszkam na wsi. Jeżeli mam napisać, że jestem zadowolony z życia, to najmniejszą ku temu przyczyną jest praca; największe zadowolenie i radość daje mi poezja — pisanie wierszy...

...Wierzę, że kiedyś napiszę wiersz".

Z listu młodego poety

FAKTEM jest niechętna na ogół dla poezji atmosfera, obojętność, niezrozumienie, wzruszanie ramionami. Poeci czują się niekiedy w tym świecie jak postacie staroświeckich sztuk. Ich książki są żywymi anachronizmami. Poezja wydaje się często dziwactwem typu nieszkodliwych na ogół dziwactw starych samotników. Jeśli się ją pielęgnuje, to tak jak chronione wymierające gatunki roślin, jak rekwizyt już niemal muzealny. Wiersze drukowane w prasie, wywiady z poetami, recenzje tomików wierszy — są jak dobre miny do złej gry.

Jednocześnie jednak istnieją fakty przeciwne, Faktem jest również wzmożony ruch poetycki na wsi, w małych miasteczkach. Pospolite powiatowe ruszenie poezji. Obserwujemy tu nieraz wzruszające wprost zjawiska, organizowanie poetyckich imprez we wsiach, powstawanie samorzutnych grup młodych poetów poświęcających wiele czasu na wspólne zjazdy, dyskusje, wewnętrzne zadania i konkursy poetyckie.

A do tego wszystkiego naprawdę masowy ruch poetycki związany z ogólnopolskim konkursem recytatorskim, ruch już o charakterze odtwórczym, ale pogłębiający znajomość poezji i popularyzujący aktywnie poezję współczesną.

Zetknęłam się ostatnio z jedną z takich grup poetyckich, z bardzo sympatyczną grupą Ziemi Kieleckiej nazwaną „Ponidzie". Jechałam do Rożnicy wraz z dyrektorem Uniwersytetu Ludowego w Rożnicy p. W. Babiniczem. Na stację w Sędziszowie przyjechał po nas samochód.

— Co słychać w domu? — zapytał kierowcę p. Babinicz.

— Przyjechało „Ponidzie" — odpowiedział takim tonem jakby chodziło o coś najzwyklejszego w świecie.

„Ponidzie" zjeżdża do Rożnicy pod skrzydła Babinicza i Uniwersytetu Ludowego na dwa dni w miesiącu. „Ponidzianie" zwalniają się wtedy z jednego dnia pracy i ze szkół. Niektórzy po kilka godzin muszą jechać do Rożnicy, bo komunikacja nie jest najlepsza. Z Kielc, Jędrzejowa, Starachowic, Ostrowca — zjeżdżają się tak już dwa lata. Omawiają wtedy nowe tomiki poetyckie, czytają swoje nowe wiersze, krytykują, dyskutują i kłócą się o każde słowo, o każdą metaforę w przyjacielskiej atmosferze grupy. Sito grupowe jest gęste. Są tu poeci słabsi lub bardziej dojrzali, nie ma jednak grafomanii. To, co piszą „Ponidzianie", to świadome już wysiłki i próby literackie. Są też niewątpliwe już talenty i indywidualności. Na pewno nie wszyscy pozostaną przy poezji. Niektórzy uprawiają jednocześnie sztuki plastyczne, niektórzy przejdą może do prozy. Inni potraktują swój flirt z poezją jako przygodę młodości zachowując na pewno ciepły stosunek do poezji na całe życie. Ci, którzy pozostaną przy poezji, będą wiele zawdzięczać całej grupie, jej atmosferze krytycznej i przyjacielskiej.

W sztuce człowiek jest i musi być sam, samotny ze sobą, ze swoją wyobraźnią, ze swoją twórczą wizją, z lękiem przed zuchwalstwem twórczych zamiarów. Ale szczęśliwy poeta, który ma za sobą mądre i ciepłe gniazdo takiej młodzieńczej poetyckiej przyjaźni.

Otrzymuję często z wielu stron Polski, z zapadłych miasteczek i nieznanych mi nawet z nazwy wsi — listy początkujących poetów i ich wiersze. Zwierzają się ze swoich poetyckich pasji jak z wielkiej tajemnicy swego życia i czekają na ocenę swych prób jak na skazujący lub uniewinniający wyrok. Jest coś rozpaczliwego w tym pragnieniu wydźwignięcia się ponad swoje życie, ponad siebie nawet — poprzez poezję. Jest coś rozpaczliwego w nadziei potwierdzenia własnej osobowości i wiary w siebie.

Jakże wielu młodych ludzi wysyłających swoje wiersze do redakcji pism i gazet — zapomina, że poezja jest dziedziną sztuki i że wymaga jak każda sztuka — przygotowania, studiów, orientacji w drogach rozwoju literatury. Niektórzy młodzi ludzie, chłopcy i dziewczęta — piszą wiersze na szkolnych ławkach kryjąc się przed okiem nauczyciela. Poezja jest dla nich ucieczką od szkolnej nudy i od trudu nauki. Jakże często mają oni w pogardzie nużące zasady ortografii. Poezja wydaje im się krainą stosunkowo łatwo osiągalnej wyższości. Łatwo osiągalnej — bo nie znają jeszcze ani zasad tej gry, ani jej trudności, tym większych, im na pozór wydaje się prostsza i łatwiejsza.

Ciągle jeszcze pokutuje post-romantyczna koncepcja poety natchnionego, od którego nie żąda się ścisłości myślenia, wiedzy i wykształcenia, poetynaczynia przepływających nastrojów i uczuć. „Nie wiem czy mam talent, ale jestem uczuciowy. To wszystko" — pisze inny młody amator poezji.

Młodzi ludzie lekceważący naukę szkolną chwytają z pobieżnych lektur rozchełstany wzorzec wolnego wiersza, tzw. nowoczesnego wiersza, który wydaje im się łatwy i od razu windują się ponad przeciętność swoich rówieśników, ponad pospolitość powszedniego dnia. Poezja i tu staje się ucieczką i schronieniem słabości. Łatwą ucieczk-

(Dokończenie na str. 4)

U Biernackich

KONRAD BIELSKI

BARDZO częstym towarzyszem naszym był Andrzej Biernacki. Studiował wtedy medycynę w Warszawie, ale w Lublinie miał dom, rodzinę i wielu przyjaciół. Aczkolwiek medycynę traktował jako swoje główne powołanie i w tej dziedzinie doszedł ostatecznie do wspaniałych rezultatów (profesor AM w Warszawie, członek Prezydium PAN itd. itd), to jednak ogólną skalę zainteresowań miał olbrzymią. Widocznie po ojcu, bo doktór Mieczysław Biernacki — to umysł renesansowy. Wart on specjalnej monografii, ale jakoś nikt się z tym na razie nie kwapi, i w końcu, gdy odejdą ci ludzie, którzy z nim pracowali, a przynajmniej obcowali i znali go lepiej, przestaną krążyć wyborne anegdoty i wspominki przy czarnej kawie — to wszystko pokryje mrok niepamięci. A przecież to ciekawy kawał historii i nie tylko Lublina.

Gdy go poznałem i gdy zaczęliśmy bywać w ich domu, przez Andrzeja, był już u szczytu swego powodzenia. Lekarz znakomity, obdarzony graniczącą z jasnowidzeniem umiejętnością rozpoznawania chorób. O jego niezwykle trafnych, błyskawicznych diagnozach cuda sobie opowiadano. Bez żadnych badań pomocniczych, analiz i prześwietleń — określał nieomylnie chorobę, a potem dopiero odsyłał pacjenta do laboratorium, lub gabinetów specjalistycznych dla sprawdzenia. Było to zresztą wszystko podparte gruntowną wiedzą lekarską i kolosalnym doświadczeniem. Oczywiście w tych warunkach powodzenie miał zawrotne. Przed pacjentami chował się i uciekał. Ścigali go jednak wszędzie i nie dawali dokończyć szklanki mocnej kawy, lub przerywali partię ulubionych przezeń szachów. W szachy grał bardzo dobrze. Opowiadał, że partnerami jego byli między innymi dr Emanuel Iasker z Berlina, arcymistrz przedwojenny i... Józef Piłsudski.

O działalności społecznej i politycznej doktora Biernackiego za czasów zaborczych nie będę pisał, bo to przekracza mój zakres. Zresztą wiem tylko ze słyszenia, że był czołowym działaczem postępowym, jednym z założycieli „Światła", że współpracował ze Stefanem Żeromskim, że słusznie nazywano go ojcem demokracji lubelskiej i że nie bez powodu już w Polsce Ludowej dziękował mu Bolesław Bierut. W Lublinie jego imieniem nazwano ulicę, na ulicy tej znajduje się szpital, który był też jego dziełem. Mógłbym tak długo pisać i mnożyć jego zasługi.

Wtedy, za naszych czasów „Reflektora", miał to już wszystko za sobą, ale bynajmniej nie rezygnował z intensywnej dalszej działalności. Był w pełni sił życiowych, a skala jego zainteresowań się nie zmniejszała. Czego ten niespospolity człowiek nie robił i czym się nie zajmował. Lekarz wszechstronny, bo internista znakomity i psychiatra. Społecznik, polityk, wszystko co się działo w kraju i na świecie nie mogło ujść jego uwagi. A przy tym szereg dziwactw i oryginalnych nawyków dawało okazję do wielu dykteryjek i anegdot. To wszystko zbliżało doktora do ludzi w sposób ciepły i serdeczny.

Znana była powszechnie jego abnegacja. Nie dbał o wygląd zewnętrzny, ubiór jego nader fantazyjny nosił cechy jaskrawego zaniedbania. Z ust nie wyjmował papierosa — wiecznie obsypany popiołem. Raz podobno, z racji jakiegoś wesela w rodzinie, musiał wystąpić w stroju uroczystym. Znając jego niechęć do wszelkich rygorów garderoby, już na wiele godzin przed uroczystością, prawie przemocą ubrano go we frak. Było to latem przy pięknej pogodzie. Doktór wyrwał się z domu i do figury poszedł w tej gali do kawiarni, a potem na spacer. Sensacja była nieprzeciętna, gdy w eskorcie tłumu gapiów paradował we fraku przez Krakowskie Przedmieście.

Przysłowiowe było jego roztargnienie. Na ten temat krążyło mnóstwo anegdot. Złośliwie skorzystaliśmy z tej jego przywary i w Szopce takie słowa włożyliśmy w jego usta:

Ach to przeklęte moje roztargnienie,
Wczoraj zamiast sztucznych zębów
/wstawiłem kawał korka,
marynarkę włożyłem sobie,
/na siedzenie,
a kamizelkę zapiąłem
/na guzik od rozporka.

I w roztargnieniu tym się wprost
/gubię,
i politycznego boję się skandalu,
bo politykę uprawiam w wariatów
/szpitalu,
a wariatów leczę
/w demokratycznym klubie.

Przysięgły meloman, znał się na muzyce, jak kształcony fachowiec. Uczęszczał na wszystkie koncerty, osąd jego był wnikliwy i zawsze trafny. Sam nawet grał na fortepianie dość biegle. Na ten temat opowiadano wiele różnych anegdot. Gdy przychodził do chorego, a w mieszkaniu zobaczył fortepian, musiał go (fortepian, nie chorego) dokładnie obejrzeć i wypróbować, a jak mu ton odpowiadał, grał całe koncerty, zupełnie zapominając po co przyszedł i o tym nieszczęsnym pacjencie. Napisał i wydał niewielką książeczkę o Chopinie: fachowcy wyrażali się o niej z wielkim uznaniem. Szkoda, że jest to dziś rarytas antykwarski i że nikt nie zatroszczył się o powtórne jej wydanie.

W domu Biernackich, wtedy przy ulicy Kołłątaja, muzyka panowała w sposób przemożny. Grał stary doktor, grał jego syn Andrzej, grali koledzy Andrzeja, a my uczestnicy tych muzycznych sympozjonów słuchaliśmy i dyskutowali bez końca. Pamiętam dobrze te zebrania. Mam ich wszystkich jeszcze przed oczyma. Przy fortepianie Andrzej Biernacki, ze skrzypcami Paweł Łosakiewicz: słuchają — Gralewski, Grędziński, Mieczysław Popławski i inni. To były dopiero koncerty. Wspólnie układaliśmy repertuar. A potem dyktowaliśmy wykonawcom to, na co mamy ochotę, a oni grali i dla nas i dla siebie co im danego wieczoru odpowiadało. Bach, Beethoven, Chopin, współcześni kompozytorzy i Hiszpanie, Hiszpanie: Albeniz, Granados, de Falla, którzy wtedy zaczynali być u nas w modzie i których propagował wielki Rubinstein. Andrzej Biernacki przywiózł z Paryża nuty i grywał ich namiętnie. Któryś z tańców Granadosa — stał się wtedy dla nas quasi-hymnem bojowym. Gdy dziś zdarzy mi się usłyszeć tę melodię na koncercie, zawsze żywo stają mi przed oczyma tamte czasy.

Zapewne technika wykonania nie była na najwyższym poziomie, lecz tych koncertów nie oddalibyśmy za żadne występy innych firmowych sław. Czasem doktor, który w następnych pokojach jeszcze przyjmował pacjentów, po skończonej pracy wpadał do nas i sam dosiadał fortepianu. Grał głównie Chopina; grał jakoś inaczej niż inni, uczuciowo, bardzo bezpośrednio — nam ta muzyka się podobała.

Później była kolacja. Kuchnia u państwa Biernackich była znana ze swych wysokich walorów; sam doktor był smakoszem i żarłokiem. Opowiadano o nim, że razu pewnego zaproszony do przyjaciół na winta, kiedy był wychodzącym, znalazł się sam w jadalnym pokoju i tam zjadł kolację przygotowaną na 10 osób. Trochę z nudów, trochę z roztargnienia i na pewno przez łakomstwo. Ale nie tylko rozkosze stołu były największą atrakcją tych kolacji. Poziom rozpraw i dyskusji stał nie poniżej wybornego żarcia.

Biernaccy mieli pod Lublinem w Motyczu kawał ziemi i ładną willę, budowaną przez Witkiewicza. Położenie posesji było malownicze, wśród barwnych pól, w pobliżu lasu. Zarządzał tymi dobrami wujaszek, sympatyczny starszy pan. Tam też zjeżdżała się niejednokrotnie na kilkudniowy pobyt cała reflektorska kompania. Śliczne otoczenie, wszelkie wygody no i swoboda zupełna. Idealne warunki do wspaniałego spędzenia czasu. Andrzej Biernacki, intelekt niepowszedni, świetny dialektyk — był żarliwym konsumentem i znawcą nie tylko muzyki, ale i poezji. Toteż było o czym gadać. A świetnych gawędziarzy wśród nas nie brakło: Biernacki, Gralewski, Grędziński — to były asy.

Czasem sobie teraz myślę, żeśmy tego „Reflektora" w gruncie rzeczy przegadali. Gdyby choć mała cząstka z tego została napisana, byłby nie najgorszy dorobek.

Wymieniłem niektórych ludzi, trudno wymienić wszystkich. Tylu ich jeszcze było, tylu ich się przewinęło przez moje życie w tych latach młodzieńczych, burzy i naporu. Przyszli, przeszli, odeszli. Niektórzy pozostawili niezatarty ślad w mej pamięci. A więc ich przede wszystkim przypominam.

Nie miejcie mi za złe przygodni, przyjaciele moi, towarzysze, z którymi w bliższych lub dalszych powiązaniach przeżywałem krótkie, ale bogate w ładunek uczuciowy, fragmenty życia; uczestnicy wielkich sporów na temat najistotniejszy (w naszym wówczas mniemaniu) problemów sztuki — nie miejcie za złe, że was wspominam generalnie i bezimiennie. Od czasu do czasu ukazują mi się wyraźne pejzaże waszych twarzy, niekiedy, nawet słyszę wasze głosy, a zawsze czuję wtedy na ustach cierpki smak wytrawnego wina, w którym podobno mieści się prawda.

W grudniu 1930 roku dodatek literacki „Ziemi Lubelskiej", redagowany przez Franciszkę Arnsztajnową — w całości poświęcony był grupie poetyckiej „Reflektor". Były tam oczywiście utwory wszystkich członków grupy, jeszcze raz powtórzony wiersz Czechowicza „We czterech" i duży artykuł wstępny. W artykule tym poza charakterystyką poetów znajdowały się też takie sformułowania: „Grupę tę, osiadłą w Lublinie, a pracującą w skali bynajmniej nie partykularnej, ze względu na jej losy, należałoby nazwać grupą bohaterską. Powstała bowiem ze spójni prawdziwych talentów, a pracuje w warunkach, które już dawno ominęli sprytni rozliczni „poeci" drobniejszego autoramentu. Poczucie własnej godności nie pozwoliło poetom „Reflektora" na czepianie się klamek i progów, które mogłyby wyjednać dla grupy to i owo. Lublin, dotychczas jeszcze będący po trosze przedmieściem Warszawy, gdy chodzi o sprawy kultury, nie mógł dać grupie należytego odzewu. Kliki literackie stolicy stosowały do „Reflektora" latami całymi taktykę przemilczania. Poeci nie mieli ani

(Dokończenie na str. 12)

POSPOLITE RUSZENIE POEZJI

(Dokończenie ze str. 3)

ką i niezbyt rozumnym schronieniem przed szarością życia.

Na wyższym piętrze jest bardziej świadome pisanie pod modę, pod redaktora. Tutaj często już grają wybujałe ambicje druku, ujrzenia własnego nazwiska w prasie. Naiwne i bezinteresowne marzenie, że kiedyś napisze się prawdziwy, dobry wiersz — ustępuje marzeniom o bezpośrednim sukcesie. Zarówno jedna, jak i druga postawa jest w zasadzie ***szlachetnym dążeniem*** *do życiowego awansu, do wybicia się, do wyjścia poza bezimienny tłum konsumentów kultury. Masowe pisanie wierszy, masowe zainteresowanie tą formą literackiej wypowiedzi — jest jakby wypryskiem bezimiennej masy tzw. odbiorców kultury. Wiele się obecnie dyskutuje na temat kultury masowej, rzekomego niebezpieczeństwa spłycenia jej, zatracenia się indywidualności ludzkiej w procesie masowego odbioru wspólnych treści podawanych przez prasę, radio, telewizję, kino. Pisanie wierszy jest niewątpliwie formą niezgody na ujednolicenie masy odbiorców, jest przejawem właśnie indywidualnych ambicji i dążeń, różnicowania się masy konsumpcyjnej.*

Ci, którzy interesują się wszelakimi społecznymi zajęciami amatorskimi, kolekcjonerstwem, malarstwem „niedzielnym", sportem, uprawianiem takiego lub innego „hobby" — nie powinni też lekceważyć zjawiska amatorskiego uprawiania poezji.

W tym aspekcie jest to już zjawisko, które mogłoby zająć nie tylko krytyka literackiego, ale i socjologa. Musiałby on wziąć wówczas również pod uwagę fakt zacierania się pod tym względem ścisłej granicy zainteresowań humanistycznych i niehumanistycznych. Wśród początkujących poetów i próbujących pióra w zakresie poezji jest wielu nie-humanistów. Są lekarze, inżynierowie, studenci politechniki i uczniowie szkół technicznych. To zjawisko wydaje mi się szczególnie ciekawe i dobrze wróżące dla poezji. Atrakcyjność poezji nie ogranicza się do kręgu pracowników i działaczy kultury, przeciwnie, wzrasta wśród ludzi myślących trzeźwo i rzeczowo z racji przyszłego zawodu i ścisłego umysłu. Wzrasta też jednocześnie rozumienie poezji nie jako chodzenia po obłokach, ale jako mowy precyzyjnej, ścisłej o niemal matematycznej precyzji myślenia i symbolice matematycznej, takie rozumienie poezji, które jest jeszcze bardzo mało popularne.

Opowiadają, że w Rosji, gdzie jak wiadomo powszechnie poezja jest bardzo lubiana i popularna, a wieczory poetyckie i spotkania autorskie cieszą się wielką frekwencją i odznaczają szczególną żywością — o wiele lepiej udają się imprezy poetyckie w środowiskach młodzieży kształcącej się na uczelniach politechnicznych niż wśród filologów, historyków i innych humanistów.

To bardzo ciekawe zjawisko tłumaczy się chyba również tym, że umysły najżywsze, najciekawsze, najchłonniejsze kierują się dziś ku fizyce i wszelkim naukom ścisłym, jako tym dyscyplinom, które są najbliższe naukowego poznania tajemnic wszechświata, są naukami wieku atomowego. Nie ma dziś wielkiej, syntetycznej myśli filozoficznej, toteż zainteresowania tego typu kierują się ku poezji i w ogóle ku sztuce. To ona wybiega w przeczuciach artysty po wizje nowego świata. Dopiero za nią podąża nauka ze swymi szkiełkami i oczami mędrca, ze swymi mikroskopami, lunetami i promieniami prześwietlającymi na wskroś tkaninę materii.

Anna Kamieńska

Przekłady Kazimierza Andrzeja Jaworskiego

WŁADYSŁAW CHODASIEWICZ

Dusza

Dusza ma niby pełnia księżycowa
I chłód, i jasność w sobie razem chowa.

Na wysokości świeci sobie, świeci,
A nie osuszy łez mych nigdy przecie.

Dla nieszczęść moich zawsze obojętna,
Głucha na jęk mój i skargę namiętną,

I ilem tutaj wycierpiał katuszy,
Nie warto wiedzieć jaśniejącej duszy.

Z dziennika

Mnie każdy dźwięk dziś szarpie słuch
I każdy promień oczy kąsa:
To zaczął się wyrzynać duch
Jak ząb spod napuchniętych dziąseł.

A wyrznie się — odrzuci precz
Znoszoną swą powłokę starą.
Stuoki w noc zapadnie, lecz
Nie w nockę tę codzienną, szarą.

A ja zostanę tutaj sam
Jak bankier dźgnięty przez apasza
Z rękoma na otworach ran
Wijąc się z bólu w świecie waszym.

*
* *

Lady długo ręce myła,
Lady mocno ręce tarła,
W oczach lady wciąż broczyła
Krew z poderżniętego gardła.

Lady, lady! Ty na łożu
Jak ptak rzucasz się w boleści.
Trzysta lat już spać nie możesz, —
Ja tak samo od lat sześciu.

*
* *

Gram w karty, lubię wina smak,
Obcując z ludźmi, się nie chmurzę.
Wszak wiem, że serce me i tak
Ku upragnionej leci burzy.

Leć, okręciku mój, ach! leć,
Nie szukaj tonąc ocalenia,
Nie możesz go w tej drodze mieć.
Dokąd unosi cię natchnienie.

Powrotu nie ma. Zewsząd mrok.
Chociaż nad słotą naszej nocy
Może czyjś z brzegu czuwa wzrok.
Patrzą nam tylko znane oczy.

A jeśli nie — to głupstwo też!
Zapomną nas — i to się zniesie.
Nie dla dziewczęcych przecież łez
Giniemy i śpiewamy pieśni.

JESZCZE O ROZWODACH

EMANUEL ISERZON

ARTYKUŁ U. J. w „Polityce" pt. „Między życiem a zasadami" (nr 34 br.) w sprawie projektu kodeksu rodzinnego rozpętał burzliwą polemikę prasową. Jest to najlepszy dowód, że inicjatywa odpowiadała potrzebie społecznej.

Zabierałem już głos w tej dyskusji („Prawo i Życie", nr 20 br.). Na zaproszenie Redakcji „Kameny" zabieram jeszcze raz głos — gdy pierwszy ferwor polemiki już przeminął — dla oceny jej wyników. Na wstępie ograniczam się do oceny ogólnej. Dyskusja była niezwykle owocna. Wydaje mi się, że gdyby się nie odbyła, postanowienia projektu w sprawie rozwodu stałyby się ustawą w tej postaci, jaką jej nadał projekt, a to dlatego, że czynniki legislacyjne w tej bardzo trudnej sprawie uległyby prawdopodobnie pokusie obrania linii najmniejszego oporu, jaką jest utrzymnie dotychczasowego stanu ustawodawczego — z pewnymi poprawkami (jak to uczynili autorzy projektu). Obecnie, gdy burza polemiki zruszyła podstawy projektu, sprawa będzie musiała być poddana ponownie gruntownemu przemyśleniu.

Gdzie jest źródło wielkiej pasji, jaką wykazali dyskutanci? Dlaczego w łonie ludzi z jednej warstwy społecznej powstała tak istotna różnica zdań? Na nasz stosunek do przedmiotu polemiki rzutuje w sposób zdecydowany osobiste doświadczenie. Takie doświadczenie ma każdy — jeśli nie na podstawie własnych doznań, to dzięki obserwacji życia swoich najbliższych. Człowiek, którego dobrotliwy los obdarzył dotychczas życiem bez zakłóceń i któremu było dane obserwować takież życie swoich najbliższych, nie ma tolerancji dla ułomności ludzkich, dla odchyleń od standardu życiowego. Człowiek doświadczony losem i mający okazję obserwowania powikłań życiowych w środowisku najbliższym traktuje rozkład w małżeństwie jako rzecz ludzką, wobec której nie jest dopuszczalna postawa kaznodziejska, żeby nie powiedzieć faryzeuszowska.

W dyskusji w sprawach małżeńskich wszyscy są „fachowcami". To nie jest przecież dyskusja na temat ustrojowy, która wymaga od uczestników specjalnego praktycznego i teoretycznego przygotowania. Również autor niniejszych uwag uważa się w tym sensie za „fachowca" w materii, o którą chodzi — choć zajmuje się prawem administracyjnym, a nie rodzinnym. Zabieram głos w tej polemice nie jako prawnik, lecz po prostu jako człowiek, który chleb jadł z niejednego pieca i w niejednym kraju (jeśli go miał).

Poza odmiennym doświadczeniem życiowym istnieje jeszcze jedna przyczyna wybitnie subiektywnego podejścia uczestników dyskusji w sprawie rozkładu małżeństwa. Tą przyczyną jest różnica światopoglądu, ściślej — poglądu na stosunek życia osobistego, indywidualnego do otaczającego nas świata. W tym miejscu, wobec możliwości nieporozumień, muszę uczynić zastrzeżenie — z całą mocą, na jaką mnie stać. Mam najgłębszy szacunek dla każdego światopoglądu, szczerego i uwzględniającego prawo człowieka do poszukiwania szczęścia osobistego. Nie wyłączam światopoglądu, który nazwę umownie ewangelicznym.

Temu światopoglądowi dał wyraz Leon Kruczkowski w kazaniu ks. Bończy („Kordian i cham" — ten świetny pisarz zamierzał sparodiować kazanie proboszcza, który przy po-

(Dokończenie na str. 6)

(Dokończenie ze str. 1)

sno, coraz ciaśniej jest także na kartkach bilansów, z których wyłaniają się coraz to nowe tysiące młodych, ufnych, czekających na wskazanie drogi, twarzy.

Z długich kolumn cyfr przepisuje tylko te, które wydają mi się najważniejsze, na które musimy dać odpowiedź. Oto one, właśnie te, które określono jako „Bilans młodocianych":

31.XII.1960 stan w dniu			31.XII.1965		
Ogółem	chłopcy	dziewcz.	ogółem	chłopcy	dziewcz.
101 435	50 390	51 045	146 110	73 530	72 580
uczący się w szkołach					
48 082	24 175	23 907	73 759	38 207	35 552
uczący się zawodu i pracujący					
3 288	2 256	1 032	7 846	5 684	2 162
poza pracą i nauką					
18 145	9 719	8 426	32 585	15 339	17 186
z tego na wsi poza pracą i nauką					
15 155	8 399	6 756	27 095	13 309	13 786
w mieście poza pracą i nauką					
2 990	1 320	1 670	5 490	2 090	3 400

Jak każda statystyka zapewne i ta nie jest doskonała, mimo że oparto ją na tak trudnych do podważenia dokumentach, jak akty urodzenia w urzędach stanu cywilnego. Ale życie już wykazuje pewne niedokładności. Chociażby to, że wskutek stałego rozrostu służby zdrowia i podniesienia ogólnego poziomu zdrowotności założona w początkowych obliczeniach śmiertelność jest mniejsza, co w konsekwencji jeszcze bardziej napina bilans młodocianych. Ostatecznie jednak nie są to cyfry zbyt wielkie, nie wpłyną więc decydująco na ostateczny obraz.

Cały problem polega na trzech ostatnich rubrykach — „poza pracą i nauką". Jest ich już 18 tysięcy, za trzy lata będzie ponad 32 tysiące. Można by ich opatrzyć etykietą „Niepotrzebni" i pozostawić własnemu losowi. Można by utworzyć — nie bez trudu zresztą — coś w rodzaju funduszu dla bezrobotnych. Ale jedno i drugie jest przecież w naszym ustroju niemożliwe i nikt o tym nawet poważnie nie myśli. Problem jednak jest i to nie od dzisiaj. Zwłaszcza na wsi. I dlatego jeszcze w 1960 rok, tuż po sporządzeniu pierwszego „Bilansu młodocianych", Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie podjęło uchwałę o utworzeniu w każdej gromadzie szkoły przysposobienia rolniczego. Są to szkoły dwuletnie, mające dać młodzieży wiejskiej, kończącej szkoły podstawowe, zasadnicze przygotowanie do pracy na roli. Są to zarazem szkoły wychowania polityczno-społecznego, którego jednym z celów jest praktyczne przekonanie uczniów o wyższości zespołowej formy gospodarowania.

Zadanie ambitne i trudne. Stosunkowo najmniej kłopotu było z lokalami — wykorzystano po prostu zwykłe klasy szkolne. Główny problem to znalezienie odpowiedniej ilości fachowych wykładowców. Tu fachowość musi krzyżować się z pedagogiką, tym bardziej skomplikowaną, im bardziej skomplikowana, często bardziej rogata jest natura 15-latka niż 10-latka ze szkoły podstawowej. Praca tym trudniejsza, że trzeba ją prowadzić bardzo często, jeżeli nie najczęściej, wbrew tradycyjnym formom i metodom dziedziczonym na małym poletku z pradziada, dziada i ojca.

O społecznej potrzebie istnienia tych szkół świadczą fakty. W r. 1961 szkoły przysposobienia rolniczego miały 5.752 uczniów, w chwili obecnej już ponad 10 tysięcy. A przecież mamy dopiero 248 SPR, czyli zaledwie połowę projektowanego stanu. Czy utworzymy drugie tyle do końca pięciolatki? Nie ulega wątpliwości, że utworzenie drugich 250 SPR będzie wymagało znacznie więcej trudu niż 250 pierwszych, które na ogół powstawały tam, gdzie warunki były bardziej sprzyjające. Teraz więc trzeba działać już w obiektywnie gorszej, raczej trudniejszej sytuacji, zapewne wymagającej większych nakładów finansowych i kadrowych. I dlatego wydaje się, że cała sprawa powinna stać się możliwie szybko przedmiotem ponownej analizy potrzeb i możliwości. Punkt ciężkości bowiem leży w tym, że już w chwili obecnej SPR skupiają tylko połowę młodocianych na wsi. Osiągnięcia są duże, to prawda — ale przecież druga połowa też czeka na rozwiązanie problemu. Na razie pomaga ona — chociaż niechętnie, bo właściwie niepotrzebnie (przeciętnie biorąc) — rodzicom w gospodarowaniu. A ponieważ czasu ma dużo, zwłaszcza w okresie jesienno-zimowym, po prostu chuligani z wszystkimi następstwami — kradzieżą, bójkami, pijaństwem, sądem. Zresztą, jeżeli nawet rzeczywiście potrafimy w krótkim czasie utworzyć szkołę przysposobienia rolniczego w każdej gromadzie, to i tak nie obejmiemy tych 32 tysięcy „poza pracą i nauką", których będziemy mieli za trzy lata.

Jest jeszcze inna strona zagadnienia, którą rozstrzygnąć muszą fachowcy. Z jednej strony — czy dwuletni okres nauki w SPR jest wystarczający, z drugiej — czy 16 lub 17-letni chłopak albo dziewczyna są już wystarczająco przygotowani do samodzielnego życia, z trzeciej wreszcie — czy to ma być koniec ich edukacji, ich aspiracji życiowych, przynajmniej tych najzdolniejszych i najbardziej ambitnych? Tu i ówdzie wysuwa się nieśmiało projekty przedłużenia nauki do lat trzech. Projekt chyba słuszny, chociaż niewątpliwie trudny do zrealizowania. W sumie pozwoliłoby to na objęcie nauką niemal całej „nadwyżkowej młodzieży", a równo-

A co z tym wyżem?

cześnie umożliwiło jej rzeczywiste przekroczenie progu życia, zwłaszcza tam, gdzie wciąż jeszcze istnieją i przez wiele jeszcze lat istnieć będą tylko 7-klasowe szkoły podstawowe. I z tym łączy się następny projekt, któremu co szybciej trzeba nadać realne kształty tworzenie specjalnego rodzaju techników. Specjalnego rodzaju — bo przystosowanych zarówno do poziomu napływających z SPR uczniów, jak i do potrzeb następnego stopnia nauki — Wyższej Szkoły Rolniczej. Mimo wielu trudności nie wolno chyba kilkudziesięciu tysięcy chłopców i dziewcząt pozbawiać tej wprawdzie trudnej, ale koniecznej także dla całej wsi drogi życiowej. Trudnej także i dlatego, że absolwenci takich techników nie mogą być tylko wąskimi specjalistami ale i poziomem wiedzy ogólnej i kultury nie mogą odbiegać potem od poziomu absolwentów zwykłych liceów ogólnokształcących, nie mogą być studentami, a potem pracownikami drugiej klasy. Znane perypetie z tak bardzo potrzebnymi niegdyś felczerami, którym z obiecanek pozostały tylko cacanki, są chyba dostateczną przestrogą.

Czy więc ostatecznie sprawa wyżu demograficznego jest — jeżeli chodzi o wieś — rozwiązana? Przede wszystkim trudno tu oddzielać wieś od miasta. Proces urbanizacji wcale nie jest zakończony. I to z dwóch powodów. Pierwszy to dalsza industralizacja i całego kraju i naszego województwa szczególnie, drugi — zastępowanie rąk ludzkich na wsi w coraz szerszym stopniu przez maszyny, pracujące w wyniku wprowadzania nowych form własności ziemi. Dwa różne powody sprowadzające się do jednego wyniku.

A tymczasem sytuacja w mieście wbrew pozorom wcale nie jest wesoła. „Poza pracą i szkołą" jest dość młodocianych, aby stwarzać jeszcze bardziej skomplikowane problemy niż na wsi. Tutaj lekarstwem, zaaplikowanym także przed dwoma laty, miało być tworzenie szkół przyzakładowych. O ile sprawa kadry nauczycielskiej była tu łatwiejsza niż przy tworzeniu SPR na wsi, to dla odmiany sprawy lokalowe okazały się trudniejsze. Normalne szkoły i tak były na ogół zapełnione od rana do późnego wieczora — przez klasy własne, szkoły zawodowe, różne kursy. Tak czy inaczej w całym województwie mamy w tej chwili tylko 11 szkół przyzakładowych, chociaż powinniśmy mieć 40. Pomimo, a raczej wbrew uchwale Rady Ministrów, wbrew własnym interesom, wbrew potrzebie społecznej Dyrekcja Okręgu Poczt i Telekomunikacji, Wojewódzki Zarząd Państwowych Gospodarstw Rolnych, Wojewódzki Związek Spółdzielni Pracy, Wojewódzkie Zjednoczenie Przedsiębiorstw Przemysłu Terenowego, Zjednoczenie Przemysłu Cukrowniczego i wiele jeszcze innych przedsiębiorstw czy instytucji nie robi prawie nic, aby takie szkoły przyzakładowe uruchomić. Zresztą i nasz największy potentat, wciąż krzyczący o braku fachowców — lubelska Fabryka Samochodów Ciężarowych — dość długo bronił się zażarcie przed uruchomieniem takiej szkoły, wynajdując dziesiątki urojonych i dziesiątą część jednego powodu, aby to uzasadnić. Identyczny zarzut można niestety postawić Dyrekcji Okręgowej Kolei, która znalazła dziesiątki milionów złotych na wybudowanie chyba zbyt obszernego i zbyt luksusowego biurowca, a nie mogła znaleźć kilkuset tysięcy na uruchomienie w tym budynku, lub w jednym z opróżnianych, szkoły dla własnych potrzeb. Zjednoczenie Przemysłu Cukrowniczego znajduje setki milionów zł na budowę nowej cukrowni w Werbkowicach i rozbudowę wielu innych, ale nie bardzo martwi się tym, czy w tych cukrowniach będą pracowali fachowcy, czy przypadkowi ludzie nie będą psuli drogich maszyn, narażali się na wypadki. Czy w ogóle będą.

Ta beztroska o przyszłe kadry jest zresztą na naszym terenie szczególnie symptomatyczna. A jej wyniki można sprawdzić — niespodziewanie dla laika — w rejestrach kadrowych przedsiębiorstw budowlanych. Przedsiębiorstwa te co roku wydają łącznie prawdziwe miliony na szkolenie fachowców — oczywiście dla siebie. Ale regułą jest to, zwłaszcza w terenie, że po zakończeniu budowy obiektu przemysłowego znaczna część załogi budowlanej przechodzi do pracy w wybudowanym przez siebie obiekcie. Warunki w hali są przecież łatwiejsze niż w budownictwie, pracującym i w błocie i na mrozie. To, że ci ludzie nie są specjalistami, nie odstrasza kierownictw nowych fabryk. Są przecież w ogóle obznajmieni z maszynami, znają mniej lub więcej organizację pracy, przywykli już do jakiejś dyscypliny pracy — w każdym razie są lepsi od zupełnie nowych, zaczynających po raz pierwszy pracować w przemyśle. Taka sytuacja jest niewątpliwie powodem ciągłych trudności budownictwa, poważnym, od lat systematycznie działającym hamulcem w wykonaniu planów budowlanych. Przykład puławskich Azotów, które jeszcze przed położeniem pierwszej cegły zaczęły zabiegać o miejsca w szkołach zawodowych i przyzakładowych dla swoich przyszłych pracowników, jest tu niestety jednym jedynym wyjątkiem.

Jakież więc ostatecznie wnioski w sprawie widocznej tuż, tuż fali wyżu demograficznego? Dodajmy tu jeszcze dla pełnego obrazu, że władze wojewódzkie spodziewają się, iż pod koniec r. 1965 nasze województwo będzie posiadało 40-50 tysięcy ludzi, dla których pracy na naszym terenie zabraknie. Nie znaczy to oczywiście, że zabraknie jej w kraju. Województwo nasze zawsze było obszarem z nadwyżką sił roboczych i zapewne jeszcze przez wiele lat takim pozostanie. Jak od lat jednak wciąż będzie aktualna sprawa eksportu — jeżeli tak można powiedzieć — owego nadmiaru do województw wysoko uprzemysłowionych, zawsze cierpiących na brak rąk do pracy. Rzecz jednak w tym, że minęły już czasy zagospodarowywania rolniczego ziem zachodnich i północnych i że w tej sytuacji nasz „eksport" musi obejmować ludzi wykwalifikowanych i musimy zrobić wszystko, aby te kwalifikacje dać im tutaj, na miejscu. Wymagają tego przesłanki zarówno psychologiczne jak społeczne i materialne. Wybór bowiem, i jego konsekwencje, są proste. Albo będziemy „eksportowali" ludzi z podstawowymi chociaż kwalifikacjami, albo kandydatów na ludzi wykolejonych czy nawet przestępców.

Do tej ostatniej możliwości dopuścić nie wolno. I stąd proste wnioski.

Uczyniliśmy wiele, aby przyjąć i prawidłowo rozładować falę wyżu. Stworzyliśmy podstawy do jej całkowitego przyjęcia przez życie. Ale niestety w realizacji jest jeszcze wiele braków, zahamowań, partykularyzmu, krótkowzroczności, wygodnictwa. Szczyt fali demograficznej znajduje się w tej chwili w 6—7 klasach szkół podstawowych. Przygotowywana reforma szkolna da nam krótki oddech już po drugiej stronie fali. Mimo olbrzymiego wysiłku państwa i społeczeństwa upłynie jeszcze wiele lat, zanim będziemy mogli dać całej młodzieży pełne średnie wykształcenie zawodowe. Do tego czasu muszą — bo innej rady na to nie ma — wystarczyć środki w rodzaju tworzenia szkół przysposobienia rolniczego czy szkół przyzakładowych. Środki te wydają się być wystarczające w istniejących warunkach, jednak muszą być wykorzystane i w pełni, i przez wszystkich, i wszędzie. A tak niestety w chwili obecnej nie jest i trzeba to głośno i wyraźnie powiedzieć. Trzeba właśnie dlatego, aby problem znów wrócił na jedno z pierwszych miejsc.

Jerzy Dostatni

SPOTKANIA I KONFRONTACJE

ADOLF JAKUBOWICZ

PAMIĘTAM ludzi z tamtej zimowej akcji. Prowadzono ją w skali chyba dotąd nie spotykanej. Do wsi, gdzie nie przebrnął terenowy „gazik", przez zaspy śnieżne, w których grzęzły konne sanki, na nartach i pieszo docierali lekarze, pielęgniarki, higienistki szkolne i dziewczęta z posterunków sanitarnych PCK. Dziesiątki samochodów sanitarnych, samochodów oddanych na potrzeby akcji przez instytucje, organizacje społeczne, zakłady pracy, rozwoziły do najodleglejszych zakątków województwa ampułki, słoiki z drogocennym lekiem.

Dobrze pamiętam atmosferę tamtej pracy. Na przeszkodzie stały nie tylko bezdroża, zamiecie, odległości do beskidzkich, czy bieszczadzkich wiosek. Opinia, ta zawsze „najlepiej poinformowana" huczała, że „to na pewno zaszkodzi, że lek jest „niepewny"... Jak to będzie w województwie, w którym trzy czwarte ludności zamieszkałej na wsi, w jednym z najuboższych w kadrze lekarską i personel pielęgniarski? W województwie, gdzie nie tak dawno znachor Drzystek leczył... bezpłodność kobiet, kowal rwał zęby, a kołtuna zamawiano w księżycowe noce.

W kilka miesięcy później na uroczystej naradzie poświęconej między innymi ocenie wysiłków służby zdrowia województwa rzeszowskiego zaszczyt organizacji krajowej konferencji poświęconej problemom awansu sanitarnego wsi jest wyrazem uznania dla inicjatywy i samodzielności w szukaniu własnych dróg do zdrowia, cywilizacyjnego postępu, kultury sanitarnej. Konferencja toczyła się w atmosferze pełnego zaangażowania jej uczestników, obfitowała w wypowiedzi polemiczne i konfrontacje. Zabierali w niej głos wiceminister zdrowia i członek gromadzkiego komitetu higienizacji wsi, I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego Partii i lekarz wiejski, dyrektorzy wojewódzkich stacji sanitarno-epidemiologicznych i inżynier zajmujący się problemem ścieków wodnych.

Kilka problemów z rzeszowskiej konferencji warto zasygnalizować już dziś, zanim ukaże się specjalny biuletyn obrazujący dokładnie jej przebieg.

Zwróćmy uwagę na fakt, że organizował konferencję Instytut Higieny Pracy i Medycyny Wsi im. W. Chodźki w Lublinie, Wydział Zdrowia Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie, rzeszowska Wojewódzka Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna, Polskie Towarzystwo Lekarskie, Sekcja Medycyny Wiejskiej w Rzeszowie oraz Wojewódzki Związek Młodzieży Wiejskiej.

wia województwo rzeszowskie jako p i e r w s z e w kraju otrzymało z rąk ministra zdrowia profesora doktora Rajmunda Barańskiego H o n o r o w ą O d z n a k ę S ł u ż b y Z d r o w i a. Otrzymali ją nasi lekarze, epidemiolodzy, pielęgniarki, felczerzy i kierownicy transportu sanitranego, administracja służby zdrowia i laboranci przygotowujący tysiące ampułek ze szczepionką doktora Salka, — za świetne rezultaty szczepień ochronnych dzieci przeciw błonicy i chorobie Heine-Medina.

Wbrew najbardziej ostrożnym przewidywaniom, wbrew starej i mającej smutne tradycje opinii o zacofaniu i ciemnocie wsi, matki wiejskie uwierzyły lekarzowi. Do punktów szczepiennych dowożono dzieci z zakopanych w lasach przysiółków, po kilkanaście kilometrów. Często był to ich pierwszy kontakt z lekarzem. Pół miliona zaszczepionych dzieci to tylko liczba. Prawie stuprocentowa obecność dzieci podlegających szczepieniom to jeden wskaźnik z danych statystycznych.

Jest w tej sprawie jednak i to, czego nie ujęły żadne statystyki i sprawozdania. Dziesiątki tysięcy prostych, wiejskich kobiet zdało pomyślnie trudny życiowy egzamin, którego stawką jest najwyższe dobro każdej matki: dziecko. Uwierzyły nauce.

Tym wyższa jest chyba ocena tego egzaminu, że odbył się on w warunkach nieporównanie trudniejszych niż w mieście, że przyniósł lepsze rezultaty niż w bogatej w przychodnie, szpitale, kliniki, posiadającej najwięcej lekarzy .. stolicy.

Nie jest sprawą przypadku, że VIII Krajowa Konferencja Medycyny Wiejskiej, która obradowała w dniach 8—10 listopada odbyła się właśnie w Rzeszowie. Obserwuję pewną ciągłość procesu, jaki zachodzi na wsi rzeszowskiej w okresie ostatnich kilku lat. Dla wo-

A więc obok instytucji, towarzystw zajmujących się zawodowo problemami zdrowia, higieny znalazła się organizacja społeczna, która sprawę rozwoju higieny wsi wiąże bardzo ściśle z jej ogólnym wszechstronnym postępem. Optymistycznie nastraja fakt, że jest to właśnie organizacja młodego pokolenia wsi.

Czy uczestnictwo w Komitecie Organizacyjnym było dla ZMW tylko sprawą reprezentacji? Chyba nie. Od kilku lat istnieją już praktyczne, codzienne związki ZMW z lekarzami, stacjami sanitarno-epidemiologicznymi — w organizacji szkół zdrowia w województwie rzeszowskim.

Bardzo interesująca jest w ogóle geneza tej formy szkolenia sanitarnego na wsi rzeszowskiej. Zaczęło się od najprostszych form szkolenia sanitarnego Polskiego Czerwonego Krzyża. Po pewnym czasie przestało to wystarczać. Uczestniczki domagały się tematów związanych z macierzyństwem, pielęgnacją niemowląt, higieną żywienia. Wprowadzono więc czterdziestokilkugodzinny program szkół zdrowia. W przeciągu dwóch sezonów zimowych pracowało ich ponad trzysta. Frekwencja? Od 60—200 kobiet i dziewcząt. W tym roku zorganizowano dalszych 180 szkół zdrowia. Przy wzrastającym ciągle zainteresowaniu tego rodzaju wykładami, akcją tą objęto kilkanaście tysięcy kobiet i dziewcząt.

PIERWSZY dzień konferencji był w zasadzie „dniem rzeszowskim". Większość referatów wiązała się z naszym województwem. Należały do nich: bardzo interesujący obraz Rzeszowszczyzny dawnej, współczesnej i przyszłej przedstawiony przez przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego, mgr Tadeusza

(Dokończenie na str. 14)

Fot.: inż. B. Stobierski

Dom mieszkalny pod wspólnym dachem z oborą — wieś Orelec, gromada Uherce, powiat Lesko.

JESZCZE O ROZWODACH

(Dokończenie ze str. 5)

mocy wzniosłych frazesów usiłuje łagodzić buntownicze nastroje chłopów rozgoryczonych wyzyskiem ze strony obszarników, ale wielki talent sprawił, że napisał natchnione kazanie kapłana, lekarza dusz ludzkich): „Nie masz takiego między nami na tej tu biednej ziemi, który by nie skarżył się i nie użalał pomnąc na wielorakie bóle i troski trapiące ustawicznie nieszczęsny rodzaj człowieczy... Drogi, po których doczesną musimy odbywać pielgrzymkę, usiane są trudami i smutkami, bojaźnią i niespokojnością, żałobą i cierpieniem, cierniem wszelkich nędz... Czymże są wszystkie skarby tego świata, czym miłość ziemi, czym troska o doczesne bogactwo, czym uciechy świeckie...? Czczością jedynie i mamidłem, błąkających nas po ścieżkach ziemskiego żywota!...".

Ten ewangeliczny światopogląd sprawia, że godzimy się z niedostatkami, rozczarowaniami i nawet klęskami, jakie zgotowało nam współżycie małżeńskie. Wyznawcy tego światopoglądu chcą wierzyć i dlatego wierzą, że małżonkowie, jeśli uzbroją się w dobrą wolę, przezwyciężą wszystkie niedomogi małżeńskie i znajdą drogę, jeśli nie do szczęśliwego, to przynajmniej do spokojnego portu. Oni też głoszą zasadę — niewątpliwie przepiękną — wiązania się na całe życie, „po grób", zasadę nierozerwalności węzła małżeńskiego, przynajmniej w założeniu. Mówiąc o nich nie mam bynajmniej na myśli bezpośrednich autorów projektu. Mam na myśli te „grupy nacisku", które wpływały na postanowienia projektu o rozwodach. Widzę je, gdy czytam słowa J. Wasilkowskiego, prezesa Komisji Kodyfikacyjnej, wypowiedziane w czasie dyskusji w Redakcji „Polityki": „Prawo nie może być bardziej postępowe niż społeczeństwo, którego ma dotyczyć... Projekt jak każde dzieło zbiorowe jest w wielu punktach wypadkową różnych poglądów reprezentowanych w łonie Komisji Kodyfikacyjnej. Wynika to z istoty każdej pracy zespołowej".

To nic, że art. 52 § 1 projektu opiewa: „Jeżeli między małżonkami nastąpi zupełny i trwały rozkład pożycia, każde z małżonków może żądać, ażeby sąd rozwiązał małżeństwo przez rozwód". Postanowienie to t y l k o p o z o r n i e przyjmuje jako punkt wyjścia rozwiązalność małżeństwa w wypadku zupełnego i trwałego rozkładu. §§ 2 i 3 tegoż artykułu zawierają przecież określenia sytuacji, w których małżeństwo, mimo że uległo zupełnemu i trwałemu rozkładowi, nie może być rozwiązane. Katalog tych sytuacji jest tak sformułowany, że obejmuje bardzo bogatą skalę warunków życiowych i sytuacji życiowych. Mianowicie: związek małżeński, mimo zupełnego i trwałego rozkładu, nie może być, w myśl tych przepisów projektu, rozwiązany przez sąd, jeśli wskutek rozwodu miałoby ucierpieć dobro wspólnych małoletnich dzieci, jeżeli z i n n y c h w z g l ę d ó w orzeczenie rozwodu byłoby sprzeczne z zasadami współżycia społecznego, jeżeli rozwodu żąda małżonek wyłącznie winny rozkładu pożycia, a drugi małżonek nie wyrazi zgody na rozwód. Katalog wyjątków od zasady rozwiązalności małżeństwa jest krótki, ale w swej treści tak bogaty w możliwość różnorakich sytuacji życiowych, a ustalenie bytu tych wyjątków jest w tym stopniu uzależnione od mało skrępowanego uznania i swobodnej oceny kompletu sądzącego, że wyrażona na wstępie art. 52 projektu zasada rozwiązalności małżeństwa jest w dużym stopniu podważona i s t a j e s i ę r a c z e j w y j ą t k i e m od zasady nierozwiązalności małżeństwa.

Dałem już wyraz poglądowi, że w dziedzinie prawa małżeńskiego nie może być stosowana zasada prewencji ogólnej, która jest kamieniem węgielnym prawa karnego. Konsekwencją wprowadzenia prewencji ogólnej do prawa małżeńskiego jest tendencja do utrudniania i uniemożliwiania uzyskania rozwodu w pewnych sytuacjach, a to w celu „zastraszenia" potencjalnych (ewentualnych) „sprawców" rozkładu pożycia małżeńskiego. Na to otrzymałem w dyskusji odpowiedź: „Zgadzamy się... że zasady prewencji generalnej w zakresie stosunków rodzinnych nie można rozumieć w ten sposób, aby kosztem szczęścia czy spokoju dwóch osób kształtować świadomość społeczeństwa... Natomiast wydaje się nam całkowicie dopuszczalna, a nawet konieczna prewencja generalna w samej treści przepisów prawa małżeńskiego" (M. Gintowt i E. Mędrzycka: „Burza nad projektem", „Prawo i Życie" nr 21 br.). Ale czy taka intencja ustawodawcy nie jest prewencją generalną Przecież chodzi tu o zastraszenie — *ne peccetur* (żeby nie grzeszono), co jest istotą prewencji ogólnej. Ale czy to zastraszenie może być skuteczne? Uniemożliwienie czy utrudnienie rozwodu, mimo trwałego i pełnego rozkładu małżeństwa, jest „karą", która nikogo nie zastraszy. Nie ma takiej osoby, która potrafiłaby opanować swój brak przywiązania przez przewidywanie przyszłej „kary", jaka może ją dotknąć, gdy będzie żądała rozwodu.

Przez zasadę rozwiązalności małżeństwa w wypadku trwałego i pełnego rozkładu rozumiem wprowadzenie do kodeksu — bez żadnych wyjątków — postanowienia, że małżeństwo martwe ulega rozwiązaniu przez sąd na żądanie choćby jednego z małżonków. Takie postanowienie jest konsekwencją postulatu, by prawo nie służyło celowi utrzymywania przy pozornym życiu tego, co jest martwe — konsekwencją poglądu, że istnienie martwych małżeństw jest zjawiskiem społecznie szkodliwym, żeby nie powiedzieć niemoralnym.

Wprowadzenie do kodeksu rodzinnego zasady rozwiązalności małżeństw martwych nie zadaje gwałtu sumieniu małżonków wyznających światopogląd wyłączający przyjęcie takiej zasady.

Ale uszanujmy również inny światopogląd, którego wyrazem jest stanowisko Engelsa: „Jeśli moralne jest tylko małżeństwo oparte na miłości, to jest nim tylko takie, w którym trwa miłość... W razie zupełnego wygaśnięcia miłości lub wyparcia jej przez nową miłość namiętną rozwód jest dobrodziejstwem zarówno dla obu stron, jak i dla społeczeństwa" (cytuję za U. J.: „Między życiem a zasadami", „Polityka" nr 36 br.). Mowa jest oczywiście o rozkładzie zupełnym i trwałym. Nikt nie proponuje, żeby sąd uwzględniał przelotne nastroje małżonków.

Chylimy czoło przed wielkim bólem, który jest udziałem małżonka porzuconego przez drugiego małżonka. Niestety prawo nie dysponuje środkami zapobieżenia utracie przywiązania i afektu w małżeństwie. Gdyby takie środki istniały, zwolennicy zasady rozwiązalności martwego małżeństwa byliby na pewno najgorliwszymi zwolennikami uzbrojenia sądu w takie środki. Ale skoro ich nie ma, utrzymywanie martwego małżeństwa nie może być uznane za środek zastępczy. Prawo może i powinno uzbroić sąd w środki zapewnienia opuszczonemu małżonkowi godziwego utrzymania.

W swoim pierwszym głosie wyraziłem również pogląd, że dobro dzieci nigdy nie jest zagrożone przez rozwiązanie martwego małżeństwa, że — przeciwnie — dobro dzieci tego wymaga. Tego poglądu w dyskusji nikt nie kwestionował, poparło go wielu dyskutantów. Mam chyba prawo uważać, że ta teza nie ulega sporowi i nie wymaga już dziś obrony.

Plon dyskusji jest bogaty. Wydaje mi się że znalazły w niej wyraz wszystkie nurtujące nas poglądy w kwestii rozwiązalności węzła małżeńskiego. Nie sądzę jednak, żeby dyskusja mogła być uznana za zakończoną. W ogniu polemiki uczestnicy nie są skłonni uznać się za przekonanych argumentami przeciwników. Ale czas sprawi, że antagoniści zaczną sobie wzajemnie czynić ustępstwa. Żywię pewność, że w procesie końcowego redagowania postanowień o rozwodzie dzisiejsi przeciwnicy znajdą — przy wspólnym wysiłku — sformułowania legislacyjne kompromisowe, ideologicznie prawidłowe i życiowo rozumne.

Emanuel Iserzon

Naukowcy u Lasowiaków

FRANCISZEK KOTULA

UTARŁO się przekonanie, że Rzeszowszczyzna jest w pewnej mierze rezerwatem kultury ludowej, tej tradycyjnej. Etnografowie, swoi i obcy głoszą, że podwójnie kresowe (narożne) województwo — to istny raj w sensie etnograficznym, na miejscowych kolegów patrzą z zazdrością, jak ubodzy na bogaczy. Może i jest w tym nieco przesady, ale opinia w gruncie jest słuszna. Mimo że Rzeszowszczyzna szybko się uprzemysławia, a sama wieś w pobliżu fabryk żywiołowo się urbanizuje.

Badania — naturalnie w terenie, nie laboratoryjne — nad kulturą ludową, faktycznie dziś już tylko nad jej reliktami, można prowadzić bardzo różnorako. Można badać jakiś jeden aspekt, kilka, a nawet całokształt kultury, w pojedynkę, grupowo, wreszcie kompleksowo. W tym ostatnim wypadku, jeśli znaczna grupa ludzi podejmuje szeroki wachlarz aspektów, w tym samym miejscu i w tym samym czasie, wówczas mówimy o obozach naukowo-badawczych, stacjonarnych. Takie właśnie obozy Muzeum w Rzeszowie, a ściśle jego dział etnograficzny, organizuje rokrocznie; od jednego nawet do trzech.

W artykule pt. „Rzeszowskie regiony etnograficzne", zamieszczonym w „Kamenie" z 31.I.1962 r. wspomniałem, że Muzeum w Rzeszowie interesuje się tylko trzema regionami, a to: Rzeszowiakami, Lasowiakami i Podgórzanami. Chcę dodać, że w łonie poszczególnych grup etnograficznych, dzięki specyficznym warunkom wytworzyły się jeszcze ośrodki takimi czy innymi szczegółami różniące się od sąsiednich.

Różne specyficzne czynniki spowodowały wytworzenie się ośrodków. Jest faktem, że na terenie Lasowiaków, na północy, wytworzył się ośrodek, który orientacyjnie został nazwany: „mokrzyszowsko-grębowskim". Po prostu, cały szereg wsi przez wiele wieków tworzyło klucz królewszczyzn, których zarząd mieścił się w Mokrzyszowie — ongiś tuż obok Dzikowa, dziś Tarnobrzega. Ten fakt musiał mieć znaczny wpływ na oblicze tego ośrodka. Następnie fakt, że znaczna część wsi z tego klucza należała do tej samej parafii, tj. do Grębowa, gdzie w dodatku mieścił się zarząd znacznych obszarów królewskich lasów, z licznymi „borkami", bartniczymi jednostkami. To od strony historycznej.

O charakterze ośrodka mówi przede wszystkim jego oblicze społeczne i kulturowe. Podobnie jak genialny człowiek wyciska swoje piętno na pewnym okresie, tak specjalnie dynamiczna, przedsiębiorcza, ruchliwa, no i postępowa wieś staje się wzorem dla sąsiadów, niejako narzuca samą siebie innym. Taką wsią dla naszego ośrodka był Grębów, wieś duża, siedząca na znacznie lepszych gruntach aniżeli sąsiedzi, przy spławnej rzece, centralnej dla Puszczy, tj. Łęku, a równocześnie w pobliżu wielkiej rzeki, Sanu. Miało to duży wpływ na poziom kulturowy, setki bowiem chłopów chodziło „na flis", spławiając drzewo z puszczy aż do Gdańska. Stykanie się z szerokim światem poszerzało horyzont tych ludzi, naśladowali oni wiele urządzeń.

Znaczna część ludności Grębowa to potomkowie jenieckich Tatarów, a więc ludu wojennego i śmiałego. Cechy te wciąż były żywotne, bo w Grębowie znajdował się dwór z rozległym folwarkiem i wielkimi obszarami lasów. W Grębowie przyjmowały się najbardziej radykalne hasła społeczne i polityczne i to od najdawniejszych czasów. Udział Grębowa w „Republice Tarnobrzeskiej" był znaczny. Taka wieś musiała mieć wpływ na otoczenie i rzeczywiście ukształtowała jego społeczne i polityczne oblicze.

Osadnictwo, a ściślej element osadniczy, nie tylko w Grębowie, ale i w całym ośrodku, był czynnikiem bardzo ważnym. Jak wspomniałem, były to królewszczyzny. W czasie wojen król otrzymywał określony procent jeńców wojennych, których osadzano w dobrach królewskich. W Mokrzyszowskim kluczu osadzano różnych jeńców, ale przede wszystkim Tatarów, jako najbardziej znienawidzonych, więc na najgorszych gruntach. Są też ślady osadnictwa szwedzkiego, np. w Jeziórku, gdzie spotyka się dużo typów nordyckich, w przeciwieństwie do sąsiednich Stali, gdzie do dziś dominują klasyczne typy mongolskie.

Na omawianym terenie były też specyficzne warunki życia, wśród lasów i bagien. Toteż sąsiednie wsi różnią się od siebie częstokroć nawet bardzo: wyglądem, gwarą, przede wszystkim naturą, usposobieniem, stosunkiem do sąsiadów.

Rzeczywiście do niedawna był to w całym tego słowa znaczeniu rezerwat tradycyjnej kultury ludowej. Ale dziś teren ten na wschodzie ma Stalową Wolę, na zachodzie siarkowy Machów, na południu Dębę, na północy Sandomierz. Aby więc jeszcze zebrać liczne relikty kulturowe w jak największej ilości, konieczne są intensywne badania stacjonarne i kompleksowe.

W tegorocznym obozie (7—13 sierpnia) utworzono szeroki front z kilkunastu pracowników naukowych. Jeśli do tego dodamy malarza — dla dokumentacji kolorytu dawnej wsi — rysowników i fotografa, to obsada była rzeczywiście znaczna, ale bynajmniej nie pełna. Ponieważ takiej „armii" nie można było zmobilizować na terenie Muzeum w Rzeszowie, sprowadzono pomoc: z katedry etnografii w Toruniu, z Krakowa, wreszcie nauczycieli licealnych mających pasję badawczą. W rezultacie badaniom poddano: budownictwo (zagrody i budynki), wyposażenie wnętrz i sprzętarstwo, plastykę ludową (we wszystkich aspektach), strój ze zdobinami, rzemiosło, zwyczaje, obyczaje i obrzędy, folklor słowny (poezja, proza, zjawiska językowe), folklor muzyczny (pierwszy raz wziął udział i muzykolog), lecznictwo ludowe, magię i zabobony, ruchy ludowe i rewolucyjne (teren Republiki Tarnobrzeskiej), okupację, ruch oporu i tajne nauczanie, przemiany w Polsce ludowej. Tutaj pozwolę sobie przytoczyć opinię uczestnika obozu, znanego poety, J. B. Ożoga:

„W obozie naukowym, który zorganizowało Muzeum w Rzeszowie w okolicach Tarnobrzega, znalazłem się przypadkowo. Docent Franciszek Kotula, niestrudzony naukowiec-folklorysta, rozpasjonowany w sztuce ludowej, znany jest z tego, że potrafi dla badań naukowych pozyskać nie tylko odpowiednie fundusze, ale i ludzi. Badania ludoznawcze w jego przekonaniu zyskują, jeśli biorą w nich udział oprócz fachowców w dziedzinie dyscyplin etnografii czy folkloru, także lingwiści, historycy ruchu ludowego, malarze, graficy, muzykologowie i pisarze. Niewątpliwie obozy tego rodzaju są eksperymentem, który zwróci uwagę odpowiednich władz, jeśli okaże się, że wyniki badań przeprowadzonych w nich zespołowo, przy udziale ludzi o różnorakich zainteresowaniach, rzucą szersze światło na starą i różnorodną kulturę ludową regionów rzeszowskich."

Fot.: A. Hadała

„Złodziejska" kaplica (ze św. Onufrym) w lasku na końcu wsi Grębów. Złodzieje mieli w niej skrytkę na skradzione rzeczy (ze zbiorów Muzeum w Rzeszowie).

Mimo wszystko należy powiedzieć z głębokim westchnieniem — niestety! Nie wszystkie a tak bardzo ciekawe odcinki zostały obsadzone: nie badano rolnictwa, hodowli, rodzajów i sposobów przyrządzania pożywienia, zajęć związanych z lasem itp. Po prostu z braku środków. I tu refleksja.

Jak wiadomo, badania archeologiczne są bardzo kosztowne; nieporównanie kosztowniejsze od badań etnograficznych. A czymże są badania archeologiczne, jeśli nie badaniem kultury ludowej minionych pokoleń, czy nawet ludów? A przecież tu chodzi o badanie kultury nie egipskiej czy syryjskiej, ale polskiej, właśnie ludowej. Jeśli obecnie nie wykorzysta się żywej, to kiedyś będzie się musiało badać martwą, przez wykopaliska i wnioski.

Badania rzeszowskie mają cele nie tylko naukowe, ale i jak najbardziej utylitarne. Na zakończenie obozu urządzono spotkanie członków obozu z przedstawicielami władz i organizacji społecznych, którym przekazano różnego rodzaju spostrzeżenia, zwrócono uwagę na zjawiska wymagające rozwiązania lub opieki. Kilkanaście par oczu spostrzegło bardzo wiele, zwłaszcza z dziedziny kultury.

Według ogólnego zdania, tego rodzaju różnokierunkowe badania, niezależnie od wyników badań i zdobycia eksponatów, wzbogacających zbiory muzeum, są jak najlepszą formą dalszego kształcenia się pracowników muzealnych, są bowiem praktycznym samokształceniem się. Po takim obozie uczestnicy wychodzą ze znacznie poszerzonymi horyzontami, z pogłębioną wiedzą, ze znajomością terenu oraz zagadnień z nim związanych.

Drugim cennym zyskiem jest fakt, że przez zetknięcie się z setkami ludzi z dziesiątek wsi upowszechnia się samą ideę muzealnictwa, wyrabia szacunek dla kultury ludowej, dla przeszłości. Spotkania i rozmowy z ludźmi są również specyficzną szkołą patriotyzmu.

Opierając się tedy na doświadczeniach zebranych już w bardzo wielu badaniach wnoszę i akcentuję, że tego rodzaju szerokofrontowe badania powinny być jeszcze poszerzone; tak w sensie liczniejszej obsady obozów, jak i w organizowaniu większej ich ilości. Będzie to świadczyło o żywotności instytucji. Uważam tedy, że na ten cel jako istotny, powinny być przeznaczone znacznie większe fundusze. Muzeum w ten sposób wychowa sobie dynamiczną kadrę pracowników naukowo-badawczych.

Na zakończenie, już na marginesie. W czasie badań nagrano (niestety, na prywatnym magnetofonie) szereg pieśni i opowiadań. Folklor muzyczny lasowiacki jest bardzo ciekawy, zwłaszcza śpiewane ballady, pieśni flisackie (w pobliżu płyną Wisła i San). A wręcz fantastyczne są zaklęcia znachorek. Dawno już straciły swoją treść, pozostała jednak wspaniała forma.

Jakby ukoronowanie: w związku z badaniami rozgłośnie w Rzeszowie i Krakowie nadają po jednej audycji, do zbiorów muzealnych przybyło dużo eksponatów. A więc zysk wielki i „czysty" interes.

Fot.: A. Hadała

Dziewczyna w oryginalnym lasowiackim stroju „po prababce" (ze zbiorów Muzeum w Rzeszowie).

BIBLIOTEKI WIEJSKIE NA START

(Dokończenie ze str. 2)

dek kulturalno-oświatowy (świetlicę) i bibliotekę gromadzką. W bibliotece można wypożyczyć książki, a w świetlicy ośrodka pograć w szachy, przejrzeć czasopisma lub popatrzeć na telewizję.

I na tym sprawa się kończy.

W ośrodku i bibliotece tkwią nie wyzyskane możliwości systematycznego działania, opartego na współpracy tych placówek, i to na różnych płaszczyznach, poczynając od form czysto oświatowych, a kończąc na rozrywce.

Weźmy pierwszą lepszą sprawę z brzegu: w świetlicy ośrodka jest czytelnia czasopism. Albo się z niej nie korzysta, albo korzysta niewłaściwie. Niewłaściwe korzystanie z czytelni czasopism polega oczywiście na tym, że czytelnicy przeglądają wszystkie czasopisma i gazety bez wyboru (23 tytuły). Tymczasem poziom i tematyka czasopism dobrana jest z myślą o uwzględnieniu najróżnorodniejszych zainteresowań i potrzeb ludzi i ich poziomu umysłowego. Czytanie całego zestawu czasopism bez wyboru jest stratą czasu i nie spełnia swego zadania. Kierownik ośrodka w porozumieniu z bibliotekarzem, powinien opracować program zajęć czytelni, opierając się na znajomości środowiska (potrzebach, zainteresowaniach), ustalić cykle zajęć np. z wydarzeń międzynarodowych, z techniki rolnictwa, oświaty sanitarnej, filmu, literatury itp., na podstawie których można organizować cykle „wieczorów prasowych", „wieczorów ciekawej techniki", „wieczorów dyskusji nad przeczytanymi wspólnie artykułami", „wieczorów pytań i odpowiedzi" „wieczorów żywej gazety" itd.

Mogą to być również zajęcia uniwersytetu powszechnego, wiejskiej szkoły zdrowia lub zespołu przysposobienia rolniczego. Kierownik biblioteki w porozumieniu z kierownikiem uniwersytetu powszechnego czy kółka rolniczego powinien zapoznać się z programami zajęć tych placówek i na każdy odczyt-zajęcie zgromadzić odpowiednio dobraną literaturę i urządzić aktualną wystawkę w świetlicy ośrodka, z której będzie można wypożyczyć książki bez potrzeby przychodzenia do biblioteki. Celowe jest także, by bibliotekarz opracowywał raz na kwartał wstępne informacje na tematy nowości wydawniczych oraz organizował dyskusje nad przeczytanymi książkami. Ciężar przygotowania zajęć w ośrodku rozkłada się wtedy na większe grono osób, co zapewnia lepsze przygotowanie zajęć. Korzyści płynące ze współpracy są dla samej biblioteki oczywiste. Jest to przecież praca nad pogłębianiem czytelnictwa i kierowanie czytelnictwem poszczególnych ludzi czy zespołów.

Ogromne pole do współpracy biblioteki i świetlicy ośrodka otwiera się również w zakresie działalności na pół rozrywkowej, opartej o książkę i czytelnictwo. Wystarczy przytoczyć takie formy jak: „sąd nad postaciami", „wieczory bajek", „estrada poetycko-muzyczna", „inscenizacje fragmentów książek", „zgaduj-zgadule" na tematy literackie, historyczne, rolnicze, techniczne itp., konkursy czytelnicze itd.

Trudno w krótkim artykule wymienić i opisać wszystkie formy działalności, które mogą być bardzo popularne szczególnie wśród młodzieży i wykorzystane z pożytkiem w pracy kół, zespołów wiejskich (ZMW, KGW, OSP, UP, KPR).

MASOWE imprezy o charakterze rozrywkowym czy oświatowym (poważnym) organizowane na wsi powinny w gruncie rzeczy odbywać się zawsze w tym samym miejscu bez względu na to, czyj udział w zorganizowaniu imprezy był większy. Ludzi należy po prostu przyzwyczajać do faktu, że na wsi istnieje lokal przeznaczony na wspólne życie kulturalne, trzeba stwarzać nawyki korzystania z niego i brania czynnego udziału w tym, co się tam dzieje.

Istnieją oczywiście inne możliwości współdziałania biblioteki i ośrodka, wciąganie do wspólnej pracy koła ZMW, zespołu przysposobienia rolniczego, koła gospodyń wiejskich, ośrodka zdrowia i agronoma.

Jeżeli w tym artykule poświęciłem tyle miejsca formom współpracy bibliotek z ośrodkami pracy k. o. (świetlicami), stało się to dlatego, że istnienie w jednym środowisku biblioteki obok ośrodka jest często przedmiotem wielu nieporozumień. A tak być nie może, tak być nie powinno.

Stanisław Kozłowski

POECI BIAŁOSTOCCY I RZESZOWSCY

ALICJA JĘDRZEJEWSKA

Białystok

Rzeźby Palmowe baby

Idą baby drewniane ścieżką
owsianą o świcie.
Niosą bazie puchate
wiatrom kradzione nad rzeką.

Idą baby chuściaste,
chylą głowy toczone
na dzwonienie postne,
na allelujowe czekanie.

Rzeźba z motywem sentymentalnym

Ciepłą plamę
roztartą w grudki
zakreślam owalem
rozmyślania

We wnętrzu
dłutowanym różowo
przymykają się oczy.

Zasypiając śnisz o potędze
stalowych przęseł
prawidłowo wkomponowanych
we własne życie .

DIONIZY MALISZEWSKI

Szkic białostocki

A tu przy ulicy cerkiew biała
złotym dziobem wieży błękit pije
o zmierzchu dzwonków jasnych pełna
płacze światłem smutnie.

pozłacane ikony zapatrzone
[w przeszłość
w pełzanie świec i w szable bojarów
— ech gdzie czasy gdy chłopi wierni
w ukłonach zamiatali brodami
poświęcaną posadzkę.

I dzisiaj jeszcze wysoko pop
siwy zawodzi —
jeszcze święty psalm uderza o niebo
ale już cisza zimna jak zmierzch
[jesienny
wypełnia cerkiew pustką ołowianą.

JERZY JANOWSKI

Krosno

Myczkowce 1958

Wydęta
pęknięciem dźwięku patyna
u schyłku prorok
niżej
sława zalotnicy
W wierzchu malowidła
doznanie pominiętej
Chwieje się zewsząd
głuchoniemych nadzieja
aż padnie
w dno wyobraźni

Zewnątrz cerkwi
mgły
naokoło bezmiaru
odebranych
po prawej stronie
Nad nimi
wniebowzięcie krzyży
zczerniałych

W konturach międzygórza
równowaga wzruszeń
okolicą pięknieje
od pochyłości
zachwiana
w cyklach
do drzew
do zanurzeń przewlok
macha rzeczywistością
owych
po lewej stronie
bez uwolnienia

Najgłębiej
w piramidach próżni
jesień zawieszonych chmur
topnieje
jest jak człowiek
w napięciu przegranej
niesie schody
wizerunków

A obok
waga mostu
do spóźnionych godzin
płasko sterczy
obca
w uporze zdziwienia
[krajobrazu
i bezlitosnych
czyhań

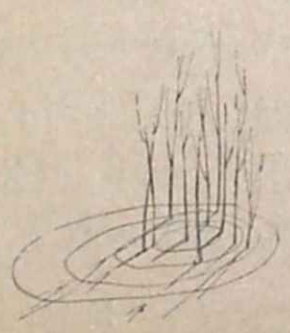

WIESŁAW KULIKOWSKI

Mielec

Babie lato

Ziemniaki się srebrzą włosami kobiet.
Odlatuje pole —
siedemdziesiąt lat tu było

Topole mają zmarszczki,
gdy przychodzą po tylu srebrnych, ciężkich latach
z oczami zasłoniętymi dymem.

— Wozy wiozą ich dzieciństwo brzegiem liścia.
Słońce opada
promieniami zamienionymi w muzykę.

Wspomnienie z Dukli

Rozwijają dziewczęta lniany ranek,
nad wzgórzami śliw dojrzewa wschód ich rąk
Tutaj sady latem są bardzo ranne;
bandaż ranka koguty smutne rwą.

— Z śladów w domach słychać było wojnę,
niósł jak z ula ją rój ślepych pszczół.
Później ludzie zatrzymali pole,
wjeżdżające ulicą pod wzgórze nut.

W sercu mdlało jeszcze popołudnie
i jak kula z wojny lipcowa noc.
Teraz już dolinę śmierci tulę
jak wspomnienie cierpkie słodkich morw.

ZBIGNIEW ŚLĄCZKA

Białystok

*
* *

kiedy zgarniam
gęstniejący zachód
drgający jeszcze upałem
kiedy pełnymi garściami
wtulam we wszystkie pory
wciskam do płuc
ubijam na posłaniu

kiedy słyszę
wibrujące tchnienie
nadchodzącego deszczu
zmywające pył
uciszające rozgwar dnia
wtedy układam
niezapisane kartki marzeń
a gdy przytulam twarz
do snu
nie podejrzewam
że godziny brzasku
nie wyznaczą kierunku modlitwom

KRYSTYNA SZYMONOWICZ

Lesko

Jodła jak dzwon Schillera

Jest takie miejsce
w leskiej ziemi

Jodła rozdarta piorunem
w wilgotnej głębi gnije bunkier

Tutaj mieszkała śmierć
i ślepym okiem nienawiści
mierzyła ludzkie losy

Jodła połową ciała żyje
piorunom na przekór

Szumiąc
wspomina zmarłych
pozdrawia tych
którzy przetrwali.

TADEUSZ SOKÓŁ

Białystok

Przed burzą

Ostrze
ekierka bieli
wzdłuż nieba chmur

Podnosi się widnokrąg
zapada morze
i fale gonią łódź
kreskę plus biały błysk

Żegnałaś
dłoni kiść
złote winogrono
przypięłaś do widnokręgu

Odpływała łódź
w morze dni

A ja na brzegu
kamienny

I oto jądro czerni
chmura
złamany trójkąt bieli
ja idący po wodzie
jak ten który zwątpił
już po kolana
już po pierś
już krzyk mój woda topi
wracaj
wracaj
uratuj siebie
i mnie

TADEUSZ PIEKŁO

Przemyśl

Chłód

stworzą go w rytmie wiersza słowa wykształcone
(nie że mądre lecz kształtem obleczone pawim)
tchną jego szronny oddech w okna przyczajone
aż ciepłych ust dosięgnie i w siność je wprawi

jak stworzyć chłód dosłowny
oto przygarść mroku
co się tai we wszystkim cokolwiek białego
i jak wątlutka gwiazda już chłód łzawi oczy
i suche serce śniegu w stronę powiek biegnie

niebo jeszcze potrzebne gdy bogate w ostrość
ono wiedzie z barw lodu dygoczący klimat
w przenikaniu do piersi szybki jak myśl nagła
nie pomnąca ni chwili która ją poczyna

chłodu smak niespodziany zabłyska jak lustro
ten sam z niedopełnienia płynący naprzeciw
i trwający tak krótko jak świeżość ubrania

a aż do kresu trwania
które nie jest krótkie
gdy zmysłom dano chłodną mądrość dostrzegania

MARIAN BERKOWICZ

Stalowa Wola

*
* *

Wyodrębniony
z marzeń pierwotnych
przy tym świcie
[obumierania
jak we śnie
oddalam się z łupem
pulsującego milczenia

To nie
nie wyrażone
ukryte za twoimi oczami
jest ciemnością anonimową
i jest spojrzeniem
które trwoniąc smak żądzy
przeszło przeze mnie
krzyżując miłość i nienawiść
w podsłuchanym rozsądku.

PONIDZIE

LITERACKA GRUPA MŁODYCH ZIEMI KIELECKIEJ

HENRYK JACHIMOWSKI

Na horyzoncie

na horyzoncie zgromadzenie ludzi
[świata
uderzają słowa
niby baloniki w skóry bębnów
głowy
unoszą się i opadają
na dno horyzontu
zachowuje się ostrość twarzy
istnieje teatr ludzi zgromadzonych

naprzeciw nieba
narzędzia stożki
najeżone do lotu

na horyzoncie trwa zgromadzenie

obserwujemy niebo
patrzymy tępo na horyzont

na ręce nasze jak ręce manekinów

czekamy aż się coś stanie

MARIAN BARAN

Jemioła

W bezsilności zasklepiają siebie,
jakby każde słowo
— choćby czule jak dotyk rzęsy —
było słowem pustym.
Ej wy,
jemiołę zbierać!
Jemioła to dobre lekarstwo —
na głowę ufryzowaną w chmurach
[metafory
Patrzcie!...
w pas się kłaniają
roztkliwionym bożkom,
aby zasłonić potargane kapcie
— zszargane.
Dotykami ogranych konwencji
jak koty się łaszą.
Jemiołę zbierać!
Jemioła to dobre lekarstwo,
aby plamy rozjaśnić
[patetycznej myśli
— w kontekście,
albo bez kontekstu —
zależnie od retuszu.
Cóż dziwnego,
że chłopiec z brudnego podwórka
jest zawsze odświętny,
dostojnością swoją.
Jemiołę zbierać!
Jemioła to dobre lekarstwo!

ANDRZEJ ZATORSKI

Tamta dziewczyna

Jest mi bliska ta obca dziewczyna
przechodząca od drzwi do drzwi,
jak konduktor w pociągu,
tylko tu nikt nie daje sygnału odjazdu.
Są prośby cierpień,
westchnienia oddechu.
Biała dziewczyna od drzwi do drzwi
roznosi widmo świata spoza
[długiego korytarza.

ADA KOPCIŃSKA

Portret dziewczyny

A chyba ona najtrafniej
to robi
wsuwając palce między warstwy
włosów
a przecież różne zupełnie to głowy
i różne wtedy stosuje pieszczoty
i każdy obraz
nawet nie skończony wiesza na ścianie
chociaż garsoniera nie jest tak
duża
jak to zachwala malarz z naprzeciwka
i zmniejsza szybko ilość nowych
kroków
i szybko tłumi dziewczyny wołanie.

A okna trudno rozjaśnić
do słońca
kiedy na szybie
głupca twarz się płaszczy
bo jej nie starcza właśnie dotykania
ona odwraca podcienione oczy
i gryzie w zębach cierpkowate smaki
tak jakby jabłko maleńkie i dzikie
żuła z namysłem
ale i z wahaniem.

I z jabłkiem w zębach wędruje nocami.

BEATA BATUK

Pustelnia senna

Francuski popielczyk del Dongo
za pan brat i pan szczur
w Farnese
a biedna Gryzelda z dawnego
[snu
dawnego snu
dawnego kamerdynera
na klawikordzie gra
na cztery ręce
(dwie zupełnie dziecięce
rączki od parasolek)
i usta ma przymknięte
z różowego wosku
zebranego ze świeczki
córki gubernatora
i Fabrycy nie kłamie
gdy ją wpół wypatruje
oknem pokłutym zupełnie
zerknięciami z ukosa
i Gryzelda nie kłamie
choć jest snem tylko
a nie jest to sen o Klelii.

STANISŁAW GLEŃ

Miasteczko

IV

Nie była nawet gasnącą gwiazdą
snuła się jak cień
kawiarnianego dymu
z rozłupanej butelki koniaku
wylała się noc rozkoszy
nazajutrz mówiono
mecenas uwiódł żonę
maszyny do liczenia
teraz chodzą w trójkącie
prawdy
nocny stuk cyferek
nie może zerwać.

RYSZARD MIERNIK

Bez złudzeń

Gdyby słowa miały ostrza siekier
Ciąłbym nimi garby waszych
[duszyczek
Gdyby słowa posiadały delikatność
Lotu jaskółek
Kreśliłbym spojrzenia waszych oczu
Ale słowa
Są jak wiechcie ze słomy
Można dziury w butach zatykać
Lub pisać wiersze

RYSZARD PODLEWSKI

Myśli

Lepiej być nieznanym autorem, niż Nieznanym Żołnierzem.

•

Piszącemu pod pseudonimem powinno się wypłacać honorarium — fałszywymi banknotami.

•

Kiedy kierownikiem muzeum zostanie jednostka niestarannie wykształcona — odda na złom nawet... „żelazne listy".

•

Uwodzicielski pracownik stadniny koni — DON UŁAN.

•

Bardzo ciemne cele również mogą komuś przyświecać!

•

Tomiki poetyckie mają tak małe nakłady, że jest to towar na wagę... słowa.

•

Niektórzy pisząc — tworzą „kundle językowe".

•

Ludzie doświadczeni mówią, że jubileusze warto obchodzić. Z daleka!

•

Im pismo bogatsze w ilustracje, tym dla uboższych duchem.

•

Na estradach, podobnie jak w sklepach z akcesoriami — przydałyby się „zamienne części" — artystyczne.

•

Pobił rekord! I to tak dotkliwie, że go do dziś nie można docucić...

•

Przyjemnie jest żyć bez trosk, ale to przysparza tyle kłopotów.

WOJCIECH ZEJDLER

Droga

1

Celebrowali anieli
słowa miłości poetom

w rękawy piasku pełne
aż do odczucia ciężaru

sypią usypią z zasobów
poezji górę pod niebo

2

tobie
w zieleni nadziei
pływa ukryty płomień

cień jego płowe ma suknie
jak ty w żałobie po snach
idzie chmur biały żagiel
na horyzoncie

słońce jak łza

3

w tym ja to wędrowanie
nocą przez dzień i nocą
drogami śniegi piach w oczy
miasta adresy bzy

drzew nieopodal kilka-
-niedomówienie pejzażu

przed jesiennymi drzewami
ty

4

i serca martwieją dzwonem
już w siebie pochyleni
w deszczu dni odejdziemy

wielcy — NIKOMU

Wyobraźnia

wysmuklony do granic pionu
już wysoko nad chmur podłogi
nie mija mnie wiatr niepokoju
fakt wzniesienia słodki i błogi

spłaszczony do granic poziomu
dobrze uciec od niskich wzniesień
przy zetknięciu poziomu z pionem
sprzecznościami ode mnie niesie

MŁODZI POECI LUBELSCY

STANISŁAW BUCZYŃSKI

Ostatni gwóźdź

Obcy mi blask orderów,
Choć zawsze byłem dumny...
Nagrodą niech mi będzie
Ostatni gwóźdź do trumny...

Kochałem zawsze ludzi.
Tak. Orszak będzie tłumny....
Więc w zgodzie niech mi wbiją
Ostatni gwóźdź do trumny...

Nie trzeba mi wiwatów.
Orałem zagon szumny.
Kto wbije mi bez jęku
Ostatni gwóźdź do trumny?...

Więc pocóż mi na końcu
Ten pochód z truchłą tłumny...
Więc wbijcie mi bez lęku
Ostatni gwóźdź do trumny...

VIOLETTA SZORC

Kazimierz

w rynek się wchodzi jak w ciszy
[rozbicie
odłamki kruszą najbardziej opornych
gdy skaleczenie boli z najpiękniejszej
[studni
podłego wina zaczerpnąć ci każą
słów się czepiają, czepiają się dźwięku
klakson jak lina ich podtrzymująca
a bruk się pyli, bo guma zbyt miękka
nie może wdeptać całej tej powierzchni
nie ma historii, nie ma żadnych mitów
miłość wypełzła, zbielała w kamieniu
w stare karnety wpisano nie tańce
wizje ukłonów mizdrzących się ruin
rąk się czepiają, czepiają się gestu
gdy wyszukańszy dwornie się odcina
nie złością ale całym kreowaniem się
na królewskość, kiedy nie ma króla
nagły zwrot tylko pięty kołysanie
wzgórze się zgięło wśród uniżoności
padło leniwie w przyziemność
[wąwozów
słońca majestat na baszcie osiada.

MARIA JÓZEFACKA

* * *

Cienkim, jaskółczym pędziem
na dnie świtu kreślę
hieroglif nienazwany wiosennego
[trwania —
śpiewająca gałęź wiśni,
śpiewająca w rosnącym błękicie
kiedy ważne są tylko kontury
[i zapach.

Dłonie kładę ostrożnie
na popielaty świt
rozwijany lekko by nie podrzeć
tajemnicy pękających pąków.
Na zgięciach złote smugi
i światło nabiera ciepła
półkręgiem jeziora
różowiejącego wolno od środka —
[od serca.

Z perłowości, z niezjawionych
[konturów
powoli rodzą się barwy
i wargi, wilgotne wargi
słodko całuje jabłoń.

Brzoza na srebrnych piachach
jak zielony wykrzyknik
kończy entuzjastycznie
ranny hymn do słońca.

KRYSTYNA MAKUŁA

Powrót w siebie

wracam z cienkiej podróży
mijam sosny, magnolie,
własny owal twarzy
by raz jeszcze uwierzyć
w długość nagich palców
klamka do wnętrza
ponura kolistość
wszystko tu dławi kurzem
od gestu po rzęsy
fioletowe bajorka początek rzeczy
w dosłowności mięśni
odchodzę na palcach wnętrzu
na przekór klaskać wspaniałej
olimpiadzie skóry
staję oniemiała w pochyłości
ramion przerzucająca bulgot nocy
w nadranie kamienieję
zważywszy że to dni Pompei.

BOHDAN ZADURA

* * *

Tak bolą mnie wszystkie miejsca,
w których mnie nie ma.
Ołów w mych nogach zastygł,
przez drogi którymi nie idę.
Czas mnie boli,
w którym nie jestem.

* * *

Brat mojego ojca
miał na imię tak samo jak ja
rozerwała go mina
w czterdziestym drugim —
można oglądać na cmentarzu
grób z napisem zmarł śmiercią
[tragiczną
miał na imię tak samo jak ja

RYSZARD KORNACKI

Odjazd

Jutro pożegnam Twoje dłonie
dwa niespokojne skrzydła
rzucone ponad ironię
zmartwień.

Zaczekam gdy pociąg tęsknot
i księżyc jak srebrna osa
na stację moją wjadą
bezimienną

Podniosę semafor ręki
dam sygnał do odjazdu

Tam dalej
Twe dłonie zostały
odcięte
w perspektywie
szyn długich jak czas

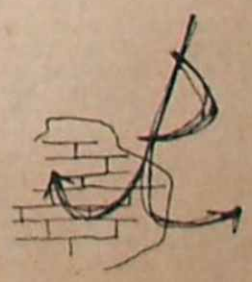

CHOINKA

OLGIERD ŻAGARA

— Spójrz, ta choinka jest śliczna — powiedziała żona do męża i pokazała palcem przeciwległe okno, przy którym wisiało drzewko.

— Nasza też dobra.

— Nie masz wcale gustu.

— To kup lepszą.

Rozmowa miała miejsce tydzień przed świętami, kiedy mąż wrócił z fabryki i przyniósł świerk. Żona uznała, że ma rzadkie gałązki i nierówny szczyt. Z choinki cieszyły się tylko dzieci. Biegały za ojcem i pytały, kiedy ją będą ubierać zabawkami. Coś im tam wytłumaczył, związał potem drzewko i zawiesił pod oknem, aby się szybko nie osypało. Na drugi dzień, kiedy mąż się golił, w kuchni żona odezwała się.

— Niewierzący, ale choinkę kupili.

— Kto?

— Ci z naprzeciwka.

— Pewnie mają dzieci.

— Nigdy nie widziałam u nich żadnego dziecka.

— Są może u babki.

— Kto ci to powiedział?

— Tak myślę. A my swoich nie odwozimy niekiedy do twojej mamy?

— Nie, oni dzieci nie mają.

Święta były coraz bliżej. Przy oknach i na balkonach pojawiało się coraz więcej zielonych drzewek. Przytwierdzone sznurkami do gzymsów chwiały się na wietrze. W domach trwała przedświąteczna krzątanina, sklepy były przepełnione. Dzieci cieszyły się z nowych bombek szklanych, które rodzice przynosili z miasta.

— Przy okazji muszę się dokładnie dowiedzieć, co to za ludzie.

— Kto?

— A ci, gdzie choinka wisi.

— Po co ci to potrzebne?

— Nie podobają mi się.

— Dlaczego?

— Żona jego tylko całymi dniami w oknie wysiaduje i nic nie robi. Dzieci nie mają. We dwoje takie mieszkanie zajmują. Motorem rozjeżdżają, telewizor parę dni temu kupili. Skąd oni biorą pieniądze?

— A tobie co do tego?

— Lepiej byś milczał. Choinki nawet ładnej nie potrafiłeś kupić.

Nadszedł dzień wigilijny. Zniknęły drzewka ze ścian kamienic i z balkonów. Widać je teraz było w oknach, przystrojone zabawkami. Różnokolorowe lampki paliły się na gałązkach.

Mąż wrócił z fabryki dość wcześnie. Od razu zabrał się do ustawienia świerku w pokoju. Kiedy wciągał go przez okno wiał zimny grudniowy wiatr.

— Wiesz co? Ta choinka wciąż wisi — powiedział do żony.

— Kupili chyba drugą.

— Myślisz, że wszyscy są tacy jak ty.

— To dlaczego nie zabierają jej do mieszkania?

— Stary widocznie nie wrócił jeszcze z pracy.

— Skądże, cały dzień motorem jeździ.

— Robi zakupy.

— Co oni tam mają kupować. Wszystko ze wsi od rodziców dostaną.

Przez cały wieczór mąż i żona byli zajęci ubieraniem choinki i przyrządzaniem kolacji. Kiedy ściemniło się, przyszła ciotka, nadjechał wujek. Zapalono lamki na drzewku ku wielkiej uciesze dzieci. Wieczór spędzano przy stole na rozmaitych rozmowach. Od dobrze napalonego pieca zrobiło się duszno. Mąż wstał i otworzył okno.

— Choinka wciąż wisi — zwrócił się do żony i gości.

— A mówiłam ci, że kupili inną.

— Stałaby w którymś z okien.

— Oni mają jeszcze okna od podwórza.

— Nic podobnego.

— Jak nie wiesz, to idź i zobacz.

Mąż nie miał jednak ochoty wychodzić na ulicę. W domu było ciepło i przytulnie. W kątku jarzyła się oświetlona lampkami choinka, błyszczały bombki. Koło drzewka siedziały dzieci wpatrzone w barwną tęczę światełek.

— Oni widać nie obchodzą świąt — odezwała się ciotka.

— To po co kupowaliby drzewko? — wtrącił się wuj.

— Po prostu ktoś im przywiózł, a odmówić nie wypadało — zakonkludowała żona i dodała. — Lepiej by ją komuś oddali. Dzieci nie mają.

— Mają. Widziałem u nich chłopczyka.

— To na co by czekali?

— A choćby na Nowy Rok.

— Bardzo możliwe — powiedział wuj, który stał przy oknie. — Tam nawet nie widać, żeby siedzieli przy stole i dzielili się opłatkiem.

— Dajcie spokój tym bezbożnikom — zaperzyła się ciotka. — Zaśpiewajmy lepiej kolędy. Pan Jezus się narodził, a wy wciąż się kłócicie.

Święta jak święta. W kościołach grały organy i śpiewano: „Bóg się rodzi, moc truchleje..." Potem odwiedzano siebie nawzajem, raczono się smakołykami, pito napoje wyskokowe. Na ulicach ludzi było mało. Spotykało się osobników w białych koszulach chwiejących się na nogach.

Rozpoczął się znowu tydzień pracy. Ludzie przeżuwali wspomnienia z niedawnych świąt i czekali na Nowy Rok. Sylwestra spędzono przeważnie w jakiejś tłocznej sali, tańczono mambę, pito napoje i składano nawzajem najserdeczniejsze życzenia. Do domu wracano nad ranem.

— Widzisz? Twoi znajomi choinkę zostawili na Wielkanoc... — powiedział mąż do żony, kiedy przechodzili pod oknami sąsiadów z naprzeciwka.

— Albo na święta prawosławnych — uzupełniła z chichotem i wciągnęła małżonka do drzwi wejściowych.

Był drugi tydzień nowego roku. Choinka z sąsiedniej kamienicy wciąż się chwiała na wietrze. Uderzyły mrozy. Spadł długo oczekiwany śnieg. Dzieci wyciągnęły z piwnicy sanki i cały dzień przebywały na ulicy. Żona była właśnie w domu i wrzucała do pieca wyschłe gałązki z rozebranego drzewka. Strzelały iskierkami i paliły się dużym białym płomieniem. Do mieszkania wbiegł ośnieżony chłopczyk.

— Mamo! Ich dzidziuś umarł.

— Kogo?

— A tych, gdzie wisi choinka.

— Tak nagle?

— Zachorował w Wigilię.

Za oknami padał gęsty śnieg i wiał styczniowy wiatr. Siłę jego można było poznać po niedużej, zielonej i gęstej choince, która uderzała raz po raz po ścianie przeciwległej kamienicy.

Czyny naprawdę wspólne

(Dokończenie ze str. 2)

przynosi nam to żadnej ujmy jż jesteśmy współorganizatorami, a nie głównym organizatorem. Tutaj my oddawaliśmy się do dyspozycji inicjatywie społecznej a nie staraliśmy się podporządkować jej sobie".

Na efekty nie trzeba było długo czekać i mówią one same za siebie do dzisiaj. Wystarczy przejść się po Kajkowym grodzie. Miasto czyste, zniknęły gruzy, a tam gdzie jeszcze w 1960 roku były — przy ul. 1 Maja — jest zieleniec, a na rogu ulicy Armii Czerwonej i Wojska Polskiego piękny skwer

Przykład miasta podziałał i na ośrodki wiejskie. I tak w Kalinowie, gdzie jest koło TRZZ, staje głównie społecznym wysiłkiem Wiejski Dom Kultury. Ogólna wartość tego przedsięwzięcia — 250 tysięcy złotych. Z tego ponad 150 tysięcy zł wynosi wkład pracy społecznej. W Skomacku przy budowie remizy strażackiej wartości 320 tysięcy złotych — ludność wnosi 110 tysięcy złotych społecznego wkładu. W Kalinowie również w ramach czynu społecznego powstaje przy szkole boisko sportowe i skwerek. Oprócz koła w Kalinowie powstała ostatnio organizacja TRZZ w Juchach. Będą powstawały nowe koła, bo podobnie jak w samym Ełku, również w powiecie jest wielu ludzi widzących możliwość realizacji statutowych zadań Towarzystwa.

Ostatnio dzięki współdziałaniu aktywu społecznego z gromadzkimi radami narodowymi nastąpiło w powiecie Ełk poważne ożywienie budownictwa wiejskiego. Wiosną bieżącego roku powstało obok wielu innych budynków gospodarskich 30 nowych stodół. Coraz więcej deklaruje się prac społecznych na potrzeby oświaty.

Długoletni prezes Zarządu Powiatowego Towarzystwa w Ełku mgr Czesław Supiński, który swoim motocyklem zjeździł powiat wzdłuż i wszerz, dzieli się ze mną uwagami na temat dobrze układającej się współpracy organizacji z terenowymi ogniwami władzy:

„Naprawdę to mało ważny jest szyld, pod jakim podejmujemy czyn społeczny. Może to być nieraz nawet nie zorganizowany zryw. Tutaj chodzi o szm fakt, o istotę — chodzi o to, aby coś robić. Działalność nasza stara się ożywiać oraz inspirować inicjatywę społeczną i od razu kierować tę inicjatywę we właściwym kierunku. Jeśli ludzie dadzą swój wkład w coś, z czego będą korzystali — dom, świetlicę, sklep, szkołę — to ich jakoś bardzo wiąże z tym obiektem, a co za tym idzie z miejscowością — z regionem. To są zasadnicze elementy stabilizacyjne. A przecież głównie nam o to chodzi".

Krzysztof Wójtowicz

KAWA „PO WIEJSKU"

LESZEK KUBICKI

NIEJEDNOKROTNIE zastanawiałem się, czy moda jest wyrazicielem określonego zapotrzebowania — naturalnie biorąc bardzo ogólnie — czy też jest wynikiem jakiegoś niesprecyzowanego kaprysu. I zawsze trudno mi było znaleźć odpowiedź. Czym podyktowany jest taki, a nie inny krój damskiej sukni czy płaszcza — modny akurat w tym sezonie? Jaką konkretną potrzebą? Wygodą? — Nie zawsze. Piękną linią? Mieliśmy wiele przykładów, które wcale tego nie potwierdziły. Podobnie z obuwiem, z fryzurą i z całą setką innych rzeczy.

A jednak istnieje jedna ważna przyczyna, która stale każe tworzyć modę. Modę na to czy na tamto. Modę taką czy inną. Właściwie ciągle inną. To potrzeba zmiany. Ucieczka przed monotonią. Obawa przed opatrzeniem, przyzwyczajeniem, znudzeniem. Strach przed sztampą.

Ale bynajmniej nie mam zamiaru roztrząsać tu problemów mody i badać praw nią rządzących. Chcę mówić o jednym zjawisku, któremu ostatnio poświęca się wiele uwagi — zjawisku bardzo w ostatnich miesiącach — właśnie! — modnemu.

Już od dobrych kilku lat przyjęło się powiedzenie, że narodowym napojem Polaków jest kawa. Rzeczywiście ilość wypijanej przez nas kawy rośnie z roku na rok. Inicjatorem tej mody stały się w kilka lat po wojnie kluby międzynarodowej prasy i książki, potem coraz liczniejsze kawiarnie. Aż wreszcie, gdzieś tak w połowie ubiegłego roku zaczęto coraz częściej mówić o tym, że „Kawa zdobywa wieś".

Rzeczywiście we wsiach, początkowo tylko w większych osiedlach, zaczęły pojawiać się szyldy z napisem „kawiarnia", gdzie coraz częściej można było zastać wąsatych gospodarzy przy małej czarnej zamiast tradycyjnego kufla.

A przecież pamiętam — jeszcze niedawno — zamówiłem kiedyś kawę w gospodzie, w powiatowym miasteczku. Zamówienie przyjęto a jakże — ale na kawę czekałem przeszło pół godziny. Okazało się, że trzeba ją było kupować w sąsiednim sklepie spożywczo-kolonialnym. A tam sprzedawca miał sporo kłopotu, bo raz, że nie pamiętał, ile kosztuje, a po wtóre zapomniał, na której półce leży.

Ale dosyć już tych refleksji na temat historycznych losów kawy w Polsce.

Pragnę się zająć dniem dzisiejszym, z konkretnie prowadzoną akcją przez Związek Młodzieży Wiejskiej — akcją organizowania na wsi tzw. klubo-kawiarni.

I tu jeszcze kilka słów o modzie, ale już konkretnie. Owe klubo-kawiarnie to właśnie realna potrzeba zmiany walki z nudą i sztampą kulturalną. Ta nowa moda — w dobrym znaczeniu tego słowa — nowa próba ożywienia kulturalnego wsi po nieświętej pamięci świetlicach. Tych właśnie świetlicach, o których mówiło się, że pajęczyny w oknach, że połamane meble, wypłowiałe bibułki, kłódka na drzwiach — a w ogóle to pustka i smętek.

W województwie białostockim w ciągu tego pierwszego roku istnienia powstało 27 klubo-kawiarni wiejskich, z czego 14 dysponuje własnymi, osobnymi lokalami, a pozostałym wydzielono sale przy gospodach.

Organizatorem tych placówek są zarządy powiatowe ZMW wspólnie z gminnymi spółdzielniami. Ale zadaniem GS-ów jest nie tylko zabezpieczenie strony kawiarnianej.

Każda klubo-kawiarnia powstaje w oparciu o tzw. zespół przysposobienia spółdzielczego, który w oparciu o koło ZMW kieruje organizacyjnie całokształtem działalności kulturalno-oświatowej i rozrywkowej takiej placówki.

A więc odczyty, pogadanki, gry towarzyskie, organizacja wieczorków tanecznych, wieczory recytatorskie, czytelnictwo czasopism i prasy, a przede wszystkim działalność szkoleniowo-samokształceniowa z zakresu programu przysposobienia spółdzielczego.

No dobrze — można zapytać — ale czym wobec tego różni się taka klubo-kawiarnia od dobrze zorganizowanej świetlicy? Jedyną różnicą ma być owa kawa?

No nie, bo w założeniach różnice są dużo większe i rozleglejsze. Jak wykazała praktyka, rola świetlicy ograniczyła się jedynie do ofiarowania lokalu, ewentualnie jeszcze kilku gazet i pudełka z szachami. Takie były mniej więcej obowiązki świetlicowego, który wydawał, zapisywał i pilnował porządku.

Ale najczęściej był chory i zamykał całą budę...

Organizacją tzw. życia świetlicowego od okazji do przypadku zajmowały się poszczególne organizacje. Jeśli chciały. Obecnie gospodarzem klubu-kawiarni jest bezpośrednio koło ZMW działające poprzez zespół przysposobienia świetlicowego, który, jak już wspomniałem, zajmuje się samą organizacją i układa plan pracy, plan imprez klubowych.

Samo szkolenie spółdzielcze, które powinno być prowadzone w ramach działalności klubowej, obejmuje 30 godzin rocznie wykładów, pogadanek i odczytów a poza tym zajęcia praktyczne, w tym większość właśnie we własnej kawiarni.

Ponadto sama ranga kawiarni zobowiązuje do odpowiedniego zachowania, uczy dobrego zachowania i co tu dużo mówić — przyciąga młodzież spragnioną nowej atrakcji.

Jak te założenia realizowane są w praktyce, to już zupełnie inna historia. I znacznie mniej wesoła.

Bo oto okazuje się, że owo szkolenie spółdzielcze młodzieży prowadzone jest jedynie w dwóch klubo-kawiarniach. W Kobylinie w powiecie Wysokie Mazowieckie i w Milczycach — tu zresztą bardzo wyrywkowo.

Bo oto okazuje się, że na przykład spotkania z pisarzami figurujące w planach na pierwszym miejscu można by policzyć na palcach jednej ręki. I jeszcze by palców pozostało.

Bo okazuje się na przykład, że wieczory recytatorskie to także impreza nieznana. I tak cała z szumem rozpoczęta działalność ogranicza się do sporadycznych odczytów, czasami ilustrowanych filmami, do brydża i szachów — no i naturalnie do plotek przy kawie.

I znowu kawa urasta do rangi najpoważniejszej rozrywki kulturalnej. Staje się jakby synonimem kultury.

Gdzie tkwią przyczyny tego niepokojącego zjawiska, które w efekcie doprowadzić może do epilogu podobnego jak ze świetlicami.

Wydaje mi się, że w pewnej ogólnej tendencji organizatorów do pójścia na łatwiznę. W bardzo powierzchownym notowaniu tego, czego chce młodzież.

Rzeczywiście, jeśli tak patrzeć po wierzchu, to łatwo odpowiedzieć: młodzież chce kawy — to taki maleńki snobizm. No i chce zespołu instrumentalnego, najlepiej twistowego, bo lubi tańczyć. Tego nie potrzeba im podsuwać, to widzą, to znają i pięknie sobie umieją zorganizować.

Ale na przykład miłą i pożyteczną znajomość z poezją trzeba zawierać przy pomocy umiejętnego pokierowania całą sprawą. Zaręczam, że chętnych recytatorów w każdym środowisku znajdziecie wielu. Przy tym wcale nie trzeba od razu szukać Siemionów.

Już sam fakt wystąpienia na estradzie jest wystarczająco atrakcyjny, żeby nie zabrakło chętnych. Podobnie z tzw. akcją oświatową. Niewiele jest tematów tak pasjonujących, żeby pochłaniały całkowicie uwagę wszystkich słuchaczy, ale też nie wystarczy odfajkować pogadanki czy odczytu, trzeba znaleźć dla nich właściwą oprawę — atrakcyjną formę. Niekoniecznie i nie zawsze ilustrować filmem. Tylko, że tu trzeba już trochę pomyśleć, podpatrzyć i znać swoich słuchaczy, uczestników i bywalców klubo-kawiarni.

Zbliża się nowy rok działalności tych pożytecznych w założeniu placówek. W styczniu odbędzie się kolejny kurs kierowników klubo-kawiarni. Jest więc okazja o tych sprawach porozmawiać. Przedyskutować zapewne rodzące się projekty. Pomyśleć o zorganizowaniu np. ognisk fotograficznych, kursów tańca towarzyskiego w połączeniu z praktycznymi pogadankami o umiejętności dobrego zachowania się, wprowadzić prelekcje o sztuce przy okazji odczytów o urządzaniu estetycznych wnętrz itp.

Zarząd Wojewódzki ZMW myśli realnie doprowadzić w przyszłym roku ilość klubo-kawiarni do ładnej cyfry, pięćdziesięciu. Warto więc, żeby te nowe rozpoczynały już pracę na nowych zasadach. Żeby chodzono tam nie na kawę, ale na pogadanki, na wieczorki towarzyskie, nawet na szkolenie spółdzielcze — przy kawie.

Hobby... czy miłość?

RYSZARD KRAŚKO

SURAŻ należy do tych niewielkich miast, które trudno odszukać na mapie Polski. Przycupnął sobie nad jednym z nieprzeliczonych zakrętów Narwi i drzemie śniąc przy tym o dawnej świetności, o setkach bitew, pożarów, morów i oblężeń, które przeszły nad nim w ciągu iluś tam dziesiątków stuleci. Jest stary, bardzo stary. Tysiącletnia Łomża musiałaby mu ustąpić miejsca w tramwaju, a prastary Kalisz pewnie by w nim powitał swego rówieśnika, gdyby tego rodzaju zwyczaje były praktykowane w życiu towarzyskim miast. Jego metryki urodzenia nie znamy jeszcze, niestety, ale dość wspomnieć, że legitymuje się dowodami swego istnienia w epoce paleolitu.

Inna sprawa, że tej świetnej przeszłości trudno by się dziś domyślić z wyglądu zewnętrznego. Kilkanaście wychodzących w szczere pole uliczek, jakiś placyk będący pozostałością hucznej targowicy, wysokie wzniesienie, na którym wznosił się przez wiele wieków obronny zamek, ot i cały Suraż. Prawdę mówiąc nawet prawa miejskie pozostawiono mu przez wzgląd na sędziwy wiek i na dawne tradycje, bo są to jedyne relikty wyróżniające go spośród otaczających wsi. Ostatnio nawet znaleźli się śmiałkowie, którzy i tego nie chcieli uszanować, ale na wieść o zamachu surażcy mieszczanie zapałali szlachetnym oburzeniem i jeszcze raz udowodnili, że potrafią odeprzeć szturm, choćby im przyszło walczyć z tak niebezpiecznym przeciwnikiem, jak pieczęcie i przenajświętsza biurokracja.

W tym dziwnym mieście, gdzie 90 proc. mieszkańców żyje z rolnictwa, mieszka jeszcze dziwniejszy człowiek. W księgach miejskich zarejestrowany jest jako Władysław Litwińczuk — rolnik, dodajmy — wzorowy rolnik i hodowca pszczół. Nie wydajność z hektara jednak i nie zbiory miodu sprawiły, że człowiek ten jest znany tysiącom ludzi w województwie białostockim. I bynajmniej nie opinii wzorowego rolnika zawdzięcza pan Litwińczuk liczne wizyty w swoim gospodarstwie.

Aby dłużej nie podniecać ciekawości PT Czytelników, spieszę z wyjaśnieniem, że bohater niniejszego artykułu ma bardzo dziwne, niecodzienne hobby. Zbiera on ni mniej ni więcej tylko okazy geologiczne i zabytki archeologiczne znajdowane na terenie Suraża. Trzeba przyznać, że jak na rolnika jest to hobby niezwykłe, zwłaszcza jeśli się zważy fakt, iż pasja ta trwa od lat bez mała czterdziestu i że dzięki temu niezwykłemu zamiłowaniu muzea ziemi w Poznaniu, Warszawie, Białymstoku i... Grodnie wzbogaciły poważnie swoje zbiory.

Przekonanie zwykłego śmiertelnika, iż na olbrzymiej większości obszaru dzisiejszej Polski szumiało niegdyś morze, jest zadaniem trudnym i przekraczającym często siły wytrawnych nawet popularyzatorów wiedzy. Pan Litwińczuk bez najmniejszego wysiłku przekonał o tym już wiele tysięcy ludzi. Po prostu pokazuje im skamieliny olbrzymich muszel, pokaźne bryły koralowców, odciśnięte w kamieniu liście wodnych roślin, skamieniałe pozostałości zwierząt morskich. Wszystkie te okazy znalazł sam lub otrzymał od swych sąsiadów zarażonych pasją zbieracza.

Oddzielny dział prywatnego „muzeum" pana Litwińczuka stanowią zbiory archeologiczne. Najciekawsze eksponaty wędrują co jakiś czas do muzeów prawdziwych, ale i to, co pozostaje w niewielkiej, specjalnie na ten cel dobudowanej komórce, napełniłoby niezdrową pożądliwością niejednego amatora osobliwości.

Ot, chociażby taki niewielki, świetnie zachowany garnuszek gliniany wykonany w czasach, gdy mieszkańcy Podlasia nie znali jeszcze koła garncarskiego. Albo takie kamienne radło wygładzone do połysku długim używaniem. Obok leżą pięknie gładzone, wycinane w misterne ząbki śmiercionośne groty krzemienne, a tuż przy nich precyzyjne siekierki, puchary, noże, żarna czy może raczej pra-żarna, składające się z wklęsłego głazu i owalnego „otoczaka", którym rozcierano ziarno. Dalej widać już nowsze zabytki: żelazne groty i topory, fragmenty renesansowych kafli, resztki narzędzi i ozdób z brązu, żelaza, kości. Są też i rogi dawno wymarłego tura, świetnie zakonserwowane i mimo swej starości wciąż jeszcze imponujące.

Nie mam zamiaru wykonywać pracy inwentaryzatora, choć na dobrą sprawę uporządkowanie zbiorów przydałoby się i pozwoliłoby licznym zwiedzającym na lepszą orientację. Cóż, kiedy gospodarz jest zbyt zajęty pracą zawodową (żyć przecież z czegoś trzeba, prawda?), a wśród fachowców-muzealników jakoś nie ma amatorów pracy społecznej. Warto jednak wspomnieć jeszcze kilka słów i o tych zbiorach, które ze względu na swe rozmiary i przez wzgląd na szczupłość miejsca w „muzeum" nie mogą zmieścić się pod dachem. Są tu dwa stare kamienie nagrobne, jeden bodaj tatarski, drugi, chyba z czasów prasłowiańskich, są potężne centnarowe kule służące niegdyś do zrzucania z wałów obronnych i przygniatania nieprzyjaciół starających się przez te wały wedrzeć do środka grodu. Pod spichlerzem — cała gromada okazów geologicznych, a wśród nich nowa ciekawostka: żużel i szkliwo z pieców... hutniczych, tzw. dymarek, w których wytapiano na Podlasiu żelazo z rud bagiennych.

To jednak jeszcze nie wszystko. Nie tylko właściciel tego dziwnego obejścia jest niezwykły, ale i samo gumno okazuje się czymś wręcz sensacyjnym. Doświadczenie przeprowadzone przez konserwatora zabytków WRN w Białymstoku, mgra Jana Jaskanisa dowiodło, że wystarczy pogrzebać nieco łopatą na tym podwórku, aby znaleźć niezwykłe zabytki archeologiczne. Między innymi znajduje się tu ceramikę gładką po jednej stronie, chropowatą zaś i oblepioną piaskiem po drugiej. Nie trzeba być znawcą, by stwierdzić, że są to pozostałości po jamach wylepianych gliną a służących niegdyś do przechowywania zboża. Właściciel podwórka twier-

(Dokończenie na str. 15)

Może w tym miejscu, gdzie stoi mała dziewczynka, stała w XV stuleciu królowa Bona, od której imienia przybrała nazwę zamkowa góra. Fot.: J. Rybiński

DO LUDZI PO LUDZKU

(Dokończenie ze str. 1)

każdym razie wszędzie tam, gdzie grupa inteligencka występuje zbiorowo, gdzie tworzą się zespoły reprezentujące różne zawody, należy szukać środków, aby przyjść im z pomocą. Na uwagę zasługuje postawa CRS. Instytucja ta udziela nauczycielom zatrudnionym w technikach ekonomicznych na wsi i w małych miasteczkach długoterminowych pożyczek na budowę domów nauczycielskich. Część oczywiście wpłacają przyszli współwłaściciele. Ta rozumna, zasługująca na naśladownictwo inicjatywa CRS, jest tym ciekawsza, że związuje mocniej nauczycieli ze środowiskiem, że nabywcy mieszkań stają się równocześnie stałymi mieszkańcami osiedla. Oczywiście, trudno pomyśleć, aby jedna instytucja czy związek mogły sobie pozwolić na zamrożenie poważnych sum na długie lata. Ale, gdyby tak CRS i WZGS, ZNP i związki pracowników służby zdrowia, pracowników rolnych i odpowiednie resorty połączyły swoje resursy, kto wie, czy nie powstałby poważny kapitał, przeznaczony na budowę domów pracowniczych na wsi. Sprawa godna jest rozpatrzenia, troska o nią wzbudziłaby z pewnością ożywienie wśród terenowej inteligencji, rozbudziłaby inicjatywę i nadzieję.

Wśród innych problemów wymagających pomocy finansowych, to kwestia pośredniczenia w nabywaniu telewizorów, organizacja wycieczek do większych ośrodków kulturalnych i wczasy kulturalne w atrakcyjnych ośrodkach. Obok tego — problem wypożyczania książek w lokalnej bibliotece gromadzkiej, mowa oczywiście o książkach naukowych lub innych, których gromadzkie księgozbiory nie posiadają.

Wszystko to są sprawy do załatwienia w granicach powiatu. Wystarczy, by nieco żywiej zainteresowały się potrzebami kulturalnymi swoich członków powiatowe ogniwa związków zawodowych, a trudności, które ludziom mieszkającym na wsi wydają się nie do pokonania, mogą być usunięte w ciągu kilku tygodni. I znowu chodzi o lojalne pośrednictwo między nabywcą a instytucją handlową (telewizory), przy czym bezsporny jest fakt, iż pierwszeństwo w nabywaniu telewizorów na długoterminowe spłaty przysługuje niewątpliwie ludziom mieszkającym na dalekim zapleczu. Dom Książki może zaś we własnym zakresie przeprowadzić przy pomocy np. biblioteki powiatowej sondaż potrzeb w powiecie i dostarczyć każdą pozycję loco odbiorca, a więc klub, świetlica, ognisko, rada zakładowa itp. Sprawę zbiorowych wypraw do większych skupisk teatralnych mogłyby przejąć instytucje handlowe, jak np. GS, PZGS czy PSS, wykorzystując swoje fundusze przeznaczone na cele kulturalne, w danym wypadku chodzi właściwie o dostarczenie środków lokomocji na przeciąg jednego dnia. Wolno sądzić, że i ta bolączka inteligencji terenowej może być bez trudności załatwiona, szczególnie dziś, kiedy niemal każda placówka uspołecznionego handlu posiada własny autobus czy ciężarówkę.

Najtrudniej przełamać opory niektórych instytucji, jeśli chodzi o udzielanie urlopów na seminaria dla inteligencji terenowej. Zakładam, iż w najbliższej przyszłości seminaria takie o ciekawych programach organizowane będą w różnych miejscowościach, na wsi i w miastach. Chodzi o to, aby instytucje i przedsiębiorstwa traktowały te seminaria jako formę szkolenia, wiadomo zaś, iż urlopy na dokształcanie pracowników gwarantują odpowiednie ustawy.

Oto sprawy, które rokrocznie wysuwane są w ankietach na seminariach rożnickich jako najbardziej palące. Konsekwentne rozpatrywanie i stopniowe załatwianie tych bolączek znakomicie polepszyłoby sytuację inteligencji w terenie, przyczyniłoby się w dużej mierze do jej stabilizacji, a tym samym do czynniejszego niż dotychczas udziału w życiu społecznym środowiska.

Spośród innych piekących spraw, nie wymagających opieki czy pomocy finansowej, to bolesny problem osamotnienia. Usiłowano mnie ongiś przekonać, iż „nie jest tak źle", że utyskiwanie na rzekome osamotnienie wynika z nadmiernego przeczulenia niektórych grup inteligenckich, z nadwrażliwości. Być może. Sama jednak konstatacja nie zmienia sytuacji, ludzie mimo to c z u j ą się osamotnieni. Na jednym z seminariów opowiadał mi działacz z powiatu zamojskiego, iż zorganizowano przeciwko niemu zmowę milczenia, odmawiano sprzedaży mleka, jaj, masła. Za co? Za poglądy, za upowszechnianie laickich poglądów w najbliższym otoczeniu. — Co mam robić? — pytał. — Odejść?. Ba, to by się równało dezercji. N i e m a m p r a w a dezerterować. Proszę mi doradzić, do kogo mam się zwrócić o pomoc? Kto powinien mi jej udzielić? Osoby urzędowe, które o to pytałem, wzruszały ramionami: — To nie nasza kompetencja, pewnie poczynaliście ostro, trzeba wypić piwo. Poza tym macie kwalifikacje, uczono was, jak należy w takich wypadkach postępować. Sprawa (słuchajcie, słuchajcie!) nie nadaje się do rozpatrywania przez kolegium w trybie administracyjnym.

O takie osamotnienie chodzi, o u r z ę d o w y stosunek do człowieka walczącego, o potworną bezduszność. — Nasi ojcowie powiatu — mówią często uczestnicy seminariów — umieją świetnie przemawiać, nigdy nie możemy ich skłonić do zwyczajnych, indywidualnych rozmów. Kiedy zostają z nami sam na sam, milczą lub klepią wyświechtane frazesy, w najlepszym wypadku opowiadają dowcipy przeczytane w „Przekroju" lub w „Szpilkach".

Otóż bardzo celowe i potrzebne są spotkania (namnożyło się tych spotkań teraz co niemiara), ale niechże po każdym takim spotkaniu publicznym spotykający się porozmawia trochę z ludźmi, zwyczajnie, ich i swoim językiem.

Czas najwyższy, abyśmy zaczęli rozmawiać o pomocy dla inteligencji terenowej jej językiem, abyśmy zakończyli okres wstępny naszpikowany ogólnikami.

Waldemar Babinicz

KULTURA W POWIECIE

(Dokończenie ze str. 1)

obowiązków sekretarzom gromadzkich rad. Natomiast powiat nie miał szczęścia do pomysłów w tej dziedzinie i nadal opiera swą pracę na założeniach raczej prowizorycznych.

Wprawdzie od dawna istnieje w radzie powiatowej stanowisko „zawiadowcy kultury", ale organizacyjnie było to zawsze piąte koło u wozu. Czasami tworzono, dla świętego spokoju, osobny wydział kultury o jednoetatowej obsadzie i taki dziwny stwór istniał sobie bez możliwości jakiegokolwiek działania. Częściej powstawał tzw. oddział kultury, a więc niepełnoprawny wydział, o nieustalonej właściwie zależności od inspektoratu szkolnego. Również i tutaj możliwości sterowania życiem kulturalnym były znikome, a pomoc nadrzędnego wydziału oświaty raczej problematyczna, z uwagi na nawał pracy własnej i brak konkretnych przepisów normujących kompetencje tego wydziału w dziedzinie kultury.

Z początkiem roku 1962 dokonały się jednak pewne zmiany. Samodzielne wydziały kultury pozostawiono tylko w tych powiatach, gdzie pracowały one dobrze i była wyraźna potrzeba ich zachowania. Natomiast jako zasadę przyjęto przekazanie spraw kultury wydziałom oświaty, z ustanowieniem specjalnego etatu podinspektora szkolnego do spraw kultury. Właściwie było to prawne usankcjonowanie stanu faktycznego, przy czym poczyniono pewne wysiłki, aby sprawom kultury nadać odpowiednią wagę.

Przede wszystkim zostały wytyczone obowiązki inspektorów, przez co związano kulturę z oświatą i dano jej możliwość rozwoju w oparciu o najliczniejsze na prowincji placówki oświatowe — szkoły. Poza tym wzrósł autorytet ludzi, kierujących kulturą, bo podinspektor szkolny to jednak figura w warunkach powiatu, gdy tymczasem kierownika wydziału kultury traktowano dość lekko. Nie są to sprawy błahe, od tego właśnie autorytetu zależy pozytywne załatwienie całego szeregu spraw.

W prowincjonalnym miasteczku ludzi ocenia się często na podstawie możliwości szkodzenia swym bliźnim. Kierownik wydziału kultury jest postacią niegroźną, jako takiego wszyscy mijają go obojętnie. Natomiast podinspektor szkolny, a... a to już szyszka i na miejscowej promenadzie wszyscy witają go z uśmiechem. Wśród tych przymilnych spojrzeń mignie czasem twarz któregoś z przewodniczących gromadzkich rad i jasne, że taki człowiek zrobi wszystko, aby tylko nie rozdrażnić groźnego podinspektora. Nawet czasem wytrzaśnie spod ziemi lokal dla biblioteki lub świetlicy. Dziwnymi drogami chadza interes publiczny.

Ujemnym aspektem tego rodzaju rozwiązania jest złożenie odpowiedzialności za życie kulturalne powiatu na ręce inspektora szkolnego, a więc człowieka absolutnie niezależnego od resortu kultury, przy czym obarczonego bardzo licznymi obowiązkami. W wypadku jego złej woli czy tylko obojętności, trudno będzie o egzekucję wydanych zarządzeń, nie pozostaje więc nic innego prócz wiary w dobre intencje tego człowieka. Każdy przyzna, że podstawa pracy raczej ryzykowna. Chociaż daleki jestem od negatywnej oceny działalności powiatowych wydziałów oświaty, jednak zetknąłem się z przypadkami, iż spory np. lokalowe pomiędzy szkołą a biblioteką (czyli placówką oświatową a kulturalną) rozstrzygano na korzyść tej pierwszej, nie zawsze w interesie społecznym, lecz także czasami w myśl zasady, że bliższa koszula ciału.

Mętlik w zakresie organizacji i kompetencji ma zasadniczy wpływ na pracę ludzi, którzy kierują życiem kulturalnym w powiecie. Brak konkretnych zadań, brak możliwości zrealizowania skromnych przecież dążeń — oto przyczyny kulturalnego zapóźnienia prowincji, ale na tym nie kończy się ich wykaz. Trzeba pamiętać, że nie ma u nas szkoły, która przygotowywałaby kadry dla powiatowych oddziałów kultury, dlatego często wędrują tam ludzie przypadkowi, bez żadnego fachowego przygotowania, czego nie nadrobi nawet najlepsza pomoc władz wojewódzkich. Nowy pracownik boryka się z wielkimi trudnościami, a oczywiście o rozwoju kultury w pierwszym okresie jego pracy nie ma nawet mowy.

Kiedy Jana K. skierowano do pracy w oddziale kultury PRN, miejscowi plotkarze trącali się porozumiewawczo łokciami. Kierować kulturą nie mając matury i żadnej praktyki w tej dziedzinie!? Nie, to dopiero będzie zabawa! Ale Jan K. miał dużo zdrowego rozsądku i dobrych chęci, nie wstydził się swej ignorancji, a przy tym znalazł życzliwych ludzi w bibliotece powiatowej. Mniej więcej po pół roku sprawy toczyły się już normalnym torem, a wkrótce potem powiat zaczął dystansować sąsiadów w dziedzinie osiągnięć kulturalnych. Działacze k.o. przyzwyczaili się, że w momentach krytycznych dla ich pracy, pojawiał się nagle znany motocykl, następował szereg bardziej lub mniej dyplomatycznych interwencji, w wyniku których sprawy kultury z zasady rozwiązywano pozytywnie. Jakoś nikogo nie raziło, że groźny kierownik oddziału kultury zamieniał się wieczorami w potulnego uczniaka, któremu czasem zdarzało się oberwać dwóję. Kiedy zdał maturę, był już doświadczonym działaczem kultury i właśnie zastanawiał się, jaki kierunek studiów będzie mu w pracy najbardziej przydatny, gdy niespodziewanie przeniesiono go na inne, znacznie ważniejsze, no i oczywiście lepiej płatne stanowisko. Ktoś tam wyczuł w nim talent działacza, zadecydował, a kultura musiała zrezygnować z większych ambicji. Nowy pracownik zaczynał znowu od początku, ale zabrakło mu szerokiego rozmachu, toteż osiągnięcia poprzednika pozostały tylko przyjemnym wspomnieniem.

Jest wielu kierowników oddziałów kultury, którzy przeszli trudną drogę, od zupełnej niewiedzy do znakomitej orientacji i odważnego działania. Aż dziw bierze, że wielu z nich pozostawiono jeszcze na dotychczasowych stanowiskach. Wiadomo, ludzi utalentowanych brak, a kulturą może się zajmować każdy. Z tego przeświadczenia wynikały fakty desygnowania do resortu kultury ludzi zupełnie przypadkowych, szukających łatwej posady. Bywali więc kierownikami oddziałów kultury zasłużeni urzędnicy, którzy zdołali uprzednio położyć pracę niejednego wydziału, czasami pojawiały się tu siedemnastoletnie panienki posiadające w swym dorobku tak szczytne osiągnięcia, jak zdanie matury w miejscowym liceum. Płynność kadr na tym stanowisku była bardzo duża, bo praca jest trudna, wymagająca uciążliwych wyjazdów w teren, solidnego przygotowania teoretycznego, umiejętności myślenia i działania. Dlatego często stanowisko to zmieniało się w punkt udzielania zezwoleń na zabawy, bo tylko ten aspekt działalności nie wymagał żadnego wysiłku.

Wypadło mi kiedyś organizować spotkanie z Kornelem Filipowiczem w pewnym mieście powiatowym. Kierowniczka oddziału kultury długo kręciła głową na dźwięk tego nazwiska.

— Filipowicz? To taki pisarz? Nie, nie słyszałam. Kornel, mówicie, ach prawda, Kornel Makuszyński, no to już wiem. Świetnie.

Podczas samego spotkania następna wsypa. Kierowniczka w słowie wstępnym z uporem maniaka przedstawiła autora jako poetę. Filipowicz słuchał ze zdumieniem, a potem pochylił się ku niej nad stołem.

— Proszę pani — powiedział szeptem — czy pani nie bierze mnie za kogoś innego, może źle trafiłem? Ostatni wiersz napisałem mając piętnaście lat.

Jak można przygotować teoretycznie pracownika na tym stanowisku? Jest tu potrzebna wiedza ogólna, połączona z pewnymi uzdolnieniami organizatorskimi, dlatego trzeba szukać ludzi wśród absolwentów wyższych uczelni, szczególnie wydziałów humanistycznych. Jak dotychczas nie słyszałem o magistrze pracującym na tym stanowisku, po prostu nikt nie wie, że istnieje możliwość takiej pracy, bo na uniwersytetach nikt nie zgłasza zapotrzebowania na nowe kadry.

Wobec tego edukacja kierownika oddziału kultury idzie po największej linii oporu. Zaczyna się od zera, przechodzi fazę upokorzeń i złośliwości, napotykając czasem przeszkody nie do pokonania. Trzeba pamiętać, że istnieje w powiecie szereg instytucji kulturalno-oświatowych grupujących specjalistów w pewnych dziedzinach i właśnie oni patrzą zezem na poczynania nowego zwierzchnika. Trzeba przyznać, że mają ku temu powody, bo nieodpowiedzialne akcje takiego nowego kierownika zdołały położyć na łopatki pracę niejednej instytucji. A że trudno od razu odróżnić dobrego działacza od poszukiwacza wysokich zarobków, dochodzi do konfliktów bez istotnej potrzeby.

Trudno zaprzeczyć, iż dobrze pracujący oddział kultury może na terenie powiatu podnieść poziom życia kulturalnego. Z drugiej strony częste objawy złej jego pracy w poważnym stopniu opóźniają rozwój kultury w tym środowisku. Jedyny wniosek, który się nasuwa, to konieczność podniesienia autorytetu, a co za tym idzie, operatywności i poziomu pracy powiatowych oddziałów kultury. Jeżeli już zdecydowano się wydać na te cele cenne złotówki, to powinny one w jakiś sposób procentować, w tym wypadku w postaci rozwoju kulturalnego. Aby tak się stało, należy koniecznie zapewnić dobór odpowiednio wykształconych kadr do tego typu działalności, trzeba również dać im możliwość działania i wskazać miejsce w hierarchii powiatu.

Jacek Wojciechowski

ZAGADKOWE SĄ DROGI TALENTU

„Maleńka staruszka swym czarodziejskim pędzlem namalowała swój ostatni obraz" — pisała prasa amerykańska na wieść o śmierci sławnej na obu półkulach malarki Anny Marii Robertson Moses.

Zaiste niezwykła to była postać i niezwykłe było jej długie i owocne życie. A żyła z górą sto lat.

Nie było zakątka w Stanach Zjednoczonych, w których nie znano by Babci Moses — bo tak powszechnie nazywały ją miliony ludzi. Tkwiła w niej jakaś magiczna siła, jeśli wolno użyć tego słowa, która silnie oddziaływała na masy ludzkie. Tą siłą była rzadko spotykana mieszanina prostoty, słodyczy, żywego niezwykle czynnego rozumu, pokory i jakiegoś specjalnego uporu, który podtrzymywał ją w okresie, gdy życie rzucało jej kłody pod nogi. A było ono i ciężkie, i trudne, i skomplikowane.

Urodziła się w 1860 roku w domu ubogiego farmera i już jako dziecko musiała ciężko pracować. Ale już wtedy, będąc małą zahukaną i nadmiernie zapracowaną dziewczynką, zaczęła przejawiać zainteresowanie malarstwem. Jej „płótnami" były skrawki papieru i szmat, płoty, kamienie, tektura i deszczułki. Znała tylko jedną barwę — czerwoną, bo takiej farby używał jej ojciec do znaczenia owiec. Gdy jej zabrakło, wyciskała sok z leśnych jagód i posługiwała się nim niby sangwiną. Niestety ten sielski, choć trudny okres życia skończył się, gdy umarł ojciec i sierota musiała porzucić rodzinne strony i pójść w świat, zawieszając na kołku swe artystyczne aspiracje. Szereg lat pracowała na różnych farmach jako najemna robotnica rolna.

Życie jej zmieniło się, gdy poznała Tomasza Salomona Moses i wyszła za niego za mąż. Osiedlili się w Shenandoah Valley in Virginia. Ponieważ oboje byli biedni, więc też i życie ich było pełne ciężkiej pracy. Obowiązki, jakie na nią spadły, były tym trudniejsze, że urodziła dziesięcioro dzieci, które trzeba było wychować i otoczyć opieką.

Po dwudziestu latach, gdy dzieci podrosły, przenieśli się do stanu nowojorskiego i tam zaangażowali do pracy w usługowej spółdzielni rolniczej, Eagle Bridge.

W 1927 r. umarł jej mąż w wieku lat siedemdziesięciu, a niewiele młodsza wdowa, prawie już emerytka, z niewielkimi materialnymi zasobami, przypomniała sobie teraz o swych młodzieńczych, a właściwie dziecinnych marzeniach. Początkowo zaczęła haftować na wełnianych tkaninach i te obrazy miały powodzenie. Aliści artretyzm, który zaatakował jej palce, zmusił ją do porzucenia haftów. Wtedy zaczęła próbować malować. Operowanie pędzlem było łatwiejsze niż igłą. Zaczęła od kopiowania pocztówek i obrazków drukowanych w czasopismach, ale już po pewnym czasie nabrała pewności, porzuciła kopiowanie i zaczęła samodzielnie rysować i malować. Treścią jej kompozycji były zawsze motywy życia wiejskiego — odblask jej dawnych wieloletnich prac i doświadczeń. Prace swe wystawiała w oknach różnych sklepów i tam je ujrzał i zainteresował się nimi inżynier Ludwik Calder, znany w Nowym Yorku kolekcjoner prac „prymitywistów". Podobały mu się bardzo obrazy pani Moses — nabył cztery, a wkrótce przyjechał znowu, aby kupić więcej.

Inż. Calder stał się dla p. Moses człowiekiem opatrznościowym. Zapropagował jej malarstwo i to skutecznie. Wkrótce trzy jej obrazy zostały włączone do „Wystawy Współczesnych Nieznanych Malarzy" w nowojorskim Muzeum Sztuki Współczesnej, a już w 1940 roku znana prywatna galeria zorganizowała wielką zbiorową wystawę obrazów Babci Moses, bo tak ją zaczęto nazywać. No cóż, dobiegła wówczas osiemdziesiątki.

Sława przyszła szybko. Po kilku latach znano ją wszędzie. Muzea kupowały jej obrazy, a i prywatni zbieracze nie pozostali w tyle płacąc poważne sumy. Nareszcie w jej życiu dotąd trudnym i pochmurnym zaświeciło pełnym blaskiem słońce powodzenia.

Dwie jej wystawy objechały Europę, a każda z nich trwała po parę lat. Muzea w Paryżu, Wiedniu i Londynie zakupiły sporo jej obrazów.

W ciągu swego tak późno rozpoczętego okresu malarskiego, który trwał dwadzieścia kilka lat namalowała ponad tysiąc obrazów, a 25 spośród nich już po ukończeniu stu lat.

Ta niezwykle utalentowana „prymitywistka", która nigdy nie uczyła się rysować i malować, osiągała poziom plastyczny, który zaskakiwał wytrawnych znawców. Najbardziej wymagający krytycy przypisywali jej dziełom niezwykłą świeżość, brak wtórności, urok i niezwykłą siłę wyrazu.

Ostatni swój obraz namalowany w końcu 1961 roku na kilka miesięcy przed śmiercią nazwała „Piękny świat".

Była zawsze pogodna i radosna, mimo trudów i dramatów swego życia i radością i pogodą przepoiła wszystkie swoje obrazy.

Często mawiała: — Czymże byłoby malarstwo, gdyby nie radość, jaką daje i malarzowi i tym, którzy na obraz patrzą".

W. Gr.

U BIERNACKICH

(Dokończenie ze str. 4)

własnych funduszów na pismo, ani nawet moralnego poparcia publiczności, uwielbiającej każdą nowinkę, byle tylko była z Warszawy... Widząc, że „Reflektor" pracuje nadal, przygotowuje nowe wydawnictwa, nowe książki, pozwoliłam sobie wobec wyżej opisanych warunków nazwać go grupą bohaterską".

Niestety te piękne słowa nie znalazły pokrycia. Grupa nasza niedługo potem zawiesiła swoją działalność. Głównym powodem tego nie było zaprzestanie wydawania pisma, boć przecie i bez pisma okazywaliśmy żywotność przez parę ładnych lat — przyczyną istotną było to, żeśmy w większości opuścili Lublin i rozjechali się po Polsce. Bobrowski wyjechał najpierw daleko na studia za granicę i odszedł od literatury na zawsze. Czechowicz i Grędziński — przenieśli się na stałe do Warszawy. Ja otworzyłem kancelarię adwokacką w Krasnymstawie.

Jeden z kolegów poetów taką o mnie napisał wtedy fraszkę:

Bielski gdzieś w Krasnymstawie
[osiedlił się pono,
Wierszy więcej nie pisze,
[bo zajął się żoną.
O nim mogłyby odwrotnie powiedzieć
[Mickiewicza usta:
Że zmarł w nim dawny Konrad
[— narodził się Gustaw.

Właściwie w Lublinie pozostał tylko Gralewski. Ale już na nasze miejsce przyszli młodzi, zaczęły wychodzić nowe pisma, objawiły się nowe talenty. Jaworski w bliskim Chełmie założył potem „Kamenę" i tam się przeniósł punkt ciężkości literackich zainteresowań.

Jeden tylko z naszych przyjaciół szedł wytrwale dalej i sięgał coraz wyżej. Aczkolwiek wiersz swój „We czterech" kończy słowami: „ale nie wiem matko, nie wiem czy dobiegnę" — on jeden z nas dobiegł i osiągnął sławę, o której zawsze marzył. Niestety pośmiertną.

Konrad Bielski

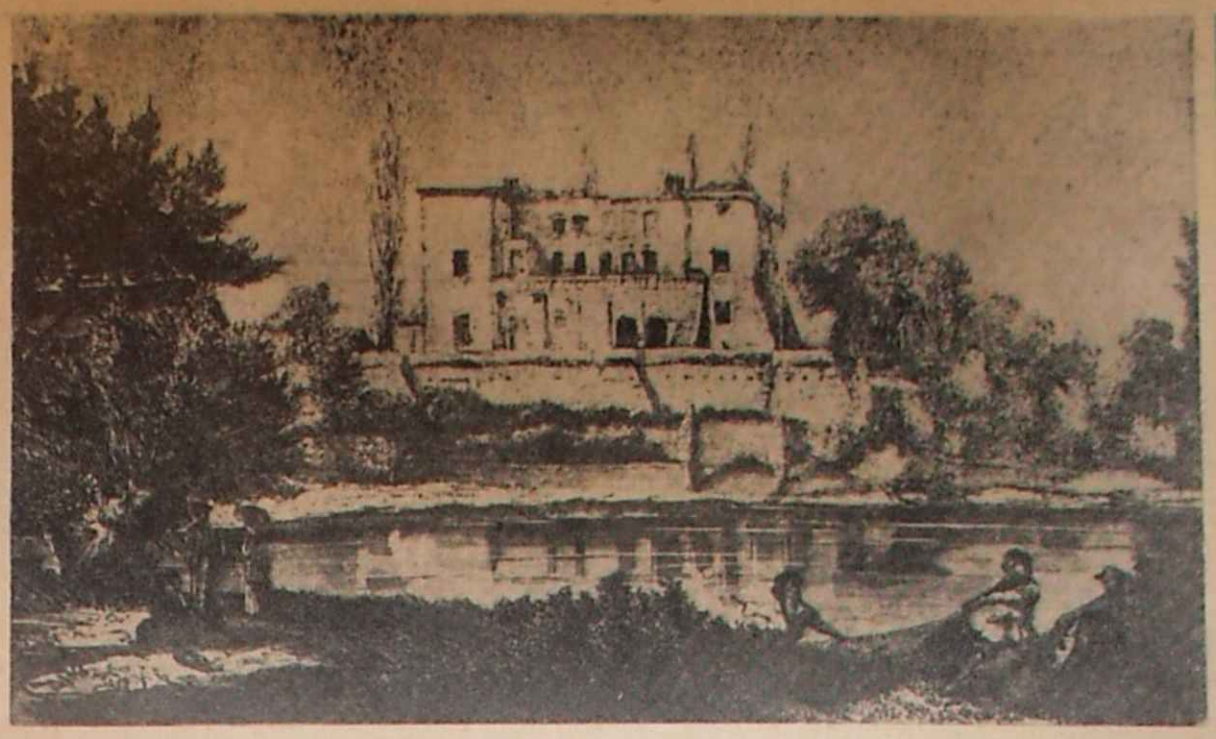

Pałac w Zawieprzycach w II pol. XIX w. wg ryciny w „Kłosach", 1872, II.

LEGENDA I FIKCJA LITERACKA

MIECZYSŁAW KURZĄTKOWSKI

ODCZAS badania przeszłości zabytkowych budowli nader często wypada rozważać napół legenne historie, które dobrze zadomowiły się w literaturze przewodnikowej, popularnej, a czasem nawet w poważnych publikacjach naukowych. Mają one tę cechę szczególną, że nie znajdują potwierdzenia ani w kwerendzie archiwalnej, ani w analizie samego zabytku. W poszukiwaniu ich śladów trop prowadzi najczęściej do historycznej powieści pierwszej połowy XIX wieku. Z niej zbłądził do Krupego Samuel Zborowski, Granowski do Zawieprzyc, a do Janowca Franciszka Krasińska.

Legenda zawieprzycka jest absolutną fikcją literacką. Nigdy nie istniał kasztelan lubelski Jan Nepomucen Granowski. Nie ma też tego nazwiska wśród kolejnych właścicieli Zawieprzyc. Cały pamiętnik proboszcza z Zawieja, kanonika katedry lubelskiej (z roku 1725, gdy diecezja lubelska jeszcze istniała!), Stefana Odonicza, jest tworem Aleksandra Bronikowskiego, wydanym pod tytułem „Zawieprzyce". Pierwsze polskie tłumaczenie „Zawieprzyc" (Bronikowski używał tylko języka niemieckiego) ukazało się w Wilnie w roku 1827, po czym nastąpiły wydania w kolejnych latach 1828 i 1829. Powieść tę pod tytułem „Zamek zawieprzycki" drukowała w odcinkach w 1901 roku „Gazeta Lubelska".

Treść legendy biorącej stąd początek jest zbyt znana, by szczegółowo przypominać o okrutnym kasztelanie Granowskim, jego nieodwzajemnionej miłości do księżniczki greckiej, znajdującej się jakimś trafem wśród tureckich jeńców wziętych do niewoli pod Wiedniem, o zamurowaniu jej żywcem w pałacu zawieprzyckim wraz z narzeczonym, dla którego odrzuciła względy kasztelana, i o malarzu, co był bratem owej Greczynki i los kochanków przedstawił pędzlem na ścianach rezydencji Granowskiego, ściągając też i na siebie zemstę okrutnika.

W okresie, w którym miały się rozgrywać opisywane przez Bronikowskiego wypadki, Zawieprzyce należały do rodziny Miączyńskich. Trudno przypuszczać, by Atanazy Miączyński (1679—1723), podskarbi koronny i wojewoda wołyński, mógł być pierwowzorem dla postaci Granowskiego. Jedno co łączy te dwie postaci — to udział w bitwie pod Wiedniem. Był bowiem podskarbi uczestnikiem wyprawy tureckich Jana III, walczył pod Parkanami i Wiedniem, pod Parkanami nie poddał się ogólnej panice, ale „krupem drogi i niewolników trzoda zbierał".[1])

On też wzniósł w Zawieprzycach pałac, którego ruiny dziś można oglądać. Fundatorem musiał być wymagającym i ambitnym, gdyż przy tym przedsięwzięciu zatrudnił najwybitniejszego polskiego architekta owych czasów, Tylmana z Gameren Gamerskiego.[2])

Na fikcyjność postaci Granowskiego zwrócił uwagę już Bronisław Chlebowski w końcu ubiegłego stulecia.[3]) Jednak jeszcze dziś zdarza się, iż kreowany przez Bronikowskiego kasztelan lubelski powraca w popularnych publikacjach krajoznawczych pretendując do roli postaci historycznej.

Podawane dotychczas dzieje zamku w Krupem koło Krasnegostawu wskazywały na Samuela Zborowskiego jako na fundatora tej warowni. Miał ją wznieść już po wygnaniu z kraju na rozkaz swemu antagoniście Janowi Zamojskiemu. Następnym wymienianym właścicielem jest Hieronim Gnoiński, do którego Krupe przeszło rzekomo drogą małżeństwa z córką Samuela Kunegundą. Po nim odziedziczył te dobra syn, Samuel, który będąc stronnikiem Karola Gustawa opiera się w Krupem wojskom polskim.

W tym wypadku mamy do czynienia z historyczną postacią Samuela Zborowskiego w sytuacji dla niego dość prawdopodobnej, lecz niewłaściwie umiejscowionej pod względem topograficznym i nie potwierdzonej przez fakty.

Pierwsze wątpliwości budzą się w ujęciu konfliktu Samuela z Janem Zamojskim. Stosunki między nim a Zborowskimi przez długi czas były zupełnie poprawne, a z Janem, bratem Samuela, nawet przyjazne. Mimo, iż kanclerstwo, o które ubiegał się również Andrzej Zborowski przypadło Zamojskiemu, mimo iż nowo kreowany kanclerz nie udzielał protekcji Zborowskim, choć o to zabiegali, jawnej wrogości mu nie okazywano. Tak przedstawia sytuację Heidenstein, który choć związany z obozem królewskim w tym wypadku zdobył się na wiele obiektywizmu[4]). O dość bliskich kontaktach osobistych z kanclerzem Samuela już jako banity świadczy zachowana korespondencja[5]).

Zaognienie nastąpiło dopiero podczas uroczystości z okazji ślubu Zamojskiego z Gryzeldą Batorówną, które Zborowskim dawały sposobność zbliżenia się do króla, poprawienia z nim stosunków, a jednocześnie wysunięcia pewnych żądań. Misja mediatora przypadła Janowi Zamojskiemu, a że zakończyła się fiaskiem, przeciw niemu i Batoremu zwrócił się gniew Zborowskich. W rok później banita Samuel dał gardło na zamku krakowskim. Za mało to czasu dla wystawienia okazałego zamku w celu naigrawania się w nim z przeciwnika, jeżeli taki motyw można w ogóle traktować poważnie. Ponadto Jan Zamojski nie miał podstaw do tego, by rezydować w Krasnymstawie, nie był bowiem ani jego właścicielem, jak piszą jedni, ani krasnostawskim starostą, jak sugerują inni.

Samuel Zborowski nie miał też żadnych praw do Krupego. Dobra tego rodu grupowały się w dwóch zasadniczych kompleksach z ośrodkami w Rytwianach w Małopolsce oraz w Zborowie, Złoczowie i Mikulińcach w dawnym województwie ruskim. Wśród dzieci banity Samuela nie było córki Kunegundy ani też Gnoińskich nie znajdujemy wśród właścicieli Krupego.

Wszystko jest więc tylko literacką fikcją. Krupe bowiem w latach siedemdziesiątych XVI w. od Krupskich przeszło stopniowo, częściami, do Pawła Orzechowskiego herbu Rogala, podkomorzego chełmskiego, arianina, zaufanego współpracownika Jana Zamojskiego. Orzechowskiego też należy uważać za fundatora budowy zamku w ostatniej ćwierci XVI w oraz rozbudowy na początku XVII w. Dziedziczył po nim syn Stanisław, a dalej w szeregu właścicieli znajdują się Niemiryczowie i Buczaccy do drugiej połowy XVII w i potem Rejowie aż niemal do końca XVIII stulecia.

Cała bałamutna historia o Zborowskim i Gnoińskich bierze swój początek w powieści Sadyka-Paszy, Michała Czajkowskiego „Stefan Czarniecki", wydanej po raz pierwszy w 1840 r. (I tom w Paryżu, II tom w Berlinie). Właśnie Gnoiński, rzekomy wnuk Samuela Zborowskiego, dziedzic Krupego i stronnik Szwedów jest jej bohaterem. Czajkowski dał tu całkiem fantastyczny opis zamku, przyjęty przez następnych autorów.

Jeszcze w 1840 r. ktoś o inicjałach X.A.S.P. przepisując dosłownie fragment „Stefana Czarnieckiego" i uzupełniając własnymi dodatkami przyczynił się w „Przyjacielu Ludu" do spopularyzowania tej literackiej fikcji[7]). Następną była Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, która wprowadzając do swego „Jana Kochanowskiego w Czarnolesie" postać Samuela Zborowskiego oparła się na Sadyku-Paszy i operowała nawet niektórymi jego sformułowaniami.

Dalej powtarzają bezkrytycznie te mistyfikację: Kazimierz Władysław Wójcicki (1843)[8]), Lucjan Siemieński (1844)[9]), Michał Baliński i Tymoteusz Lipiński (1844)[10]), Franciszek Sobieszczański (1847)[11]), Kazimierz Stronczyński (1850—1855)[12]), liczne artykuły i notatki w „Tygodniku Ilustrowanym", „Kłosach", „Ziemi" oraz innych czasopismach i dziennikach. Poszło w zapomnienie źródło informacji, które nie skonfrontowane z przekazami archiwalnymi, przeniknęło nawet do poważnych publikacji naukowych.

Legendzie stworzonej przez Czajkowskiego nie uległ tylko Henryk Rzewuski w „Zamku Krakowskim" (I wyd. Petersburg 1847—1848) i J. I. Kraszewski. Jego „Banita" (I wyd. 1885) jest ściśle oparty na wyjątkowo licznie zachowanych szesnastowiecznych „Zborovianach". Ten źródłowy materiał historyczny zawiera tak ogromny ładunek dramatyczny, że pisarzowi pozostaje tylko interpretacja i przeniesienie na język jednej z form literackich.

Ruiny zamku w Krupem musiały mieć jakiś niezwykły urok dla autorów XIX stulecia. Tu rozgrywa się również akcja powieści Stanisława Dolińskiego „Zamek krupski" oraz opowiadania Antoniego Wieniarskiego „Wieś Krupa — Zdarzenie historyczne z 1715 r."[13]). Treść obydwu tych utworów jest też całkowitą fikcją literacką.

Powieścią opisującą fakty historyczne, ale przeniesione w wybraną przez autora scenerię, jest „Dziennik Franciszki Krasińskiej" Klementyny z Tańskich Hoffmanowej. Wypadki, które w rzeczywistości miały miejsce w Warszawie, zlokalizowane zostały tu w Janowcu nad Wisłą. Gospodarzem zamku uczyniła Hoffmanowa Marcina Lubomirskiego. Trudno powiedzieć, co skłaniło autorkę do obdarzania tego awanturnika sympatią, której musiała ustąpić historyczna kolejność faktów. Bo przecież w tym czasie, gdy rozgrywały się opisywane przez Hoffmanową zdarzenia, Marcin Lubomirski więziony był na życzenie własnego ojca, Antoniego Benedykta, w twierdzach austriackich i węgierskich[14]

Ustępy powieści o rzeczywiście pamiętnikarskim charakterze udzieliły kredytu prawdopodobieństwa wplatanej przez Hoffmanową fikcji, które jeszcze dziś wkrada się do różnych opracowań na temat Janowca.

Za „Dziennikiem", opublikowanym po raz pierwszy w IV tomie „Rezrywek dla dzieci" z 1825 r., Marcin Lubomirski traktowany jest jako fundator XVIII-wiecznej przebudowy zamku w Janowcu oraz dekoracji wnętrza „pokoju Franciszki Krasińskiej" w wieży zachodniej. W rzeczywistości jednak Marcin nie zdradzał bliższego zainteresowania odziedziczoną po ojcu rezydencją. Traktował ją jedynie jako nieruchomość, którą zresztą bardzo szybko postradał.

Przekształcenie południowego skrzydła zamku w modnym stylu Ludwika XV należałoby wiązać z ojcem Marcina, Antonim Benedyktem, którego Janowiec był ulubioną siedzibą. Właściwe umiejscowienie w czasie tych szczegółów jest istotne ze względu na wysoką klasę rokokowej dekoracji zdobiącej długą, stumetrową elewację południową. Nadała ona budowli charakter pałacowy od strony najbardziej eksponowanej i choć w części dostosowała anachroniczny już zamek do aktualnych wymagań stylowych.

Sztukaterie „pokoju Franciszki Krasińskiej" są znacznie wcześniejsze. W amfiladzie sal południowych przylegających do wieży uważny obserwator dojrzy szczątki wystroju o podobnym charakterze. Podział ścian, repertuar motywów zdobiących i ich komponowanie są wczesnobarokowe i wskazują na powstanie tej dekoracji w czasach Wazów, to znaczy w okresie, gdy Janowiec był w rękach rodziny Tarłów.

Dla podkreślenia nieprzeciętnych rozmiarów zamku w Janowcu często

(Dokończenie na str. 15)

Ruiny zamku w Krupem ok. 1880 roku wg ryc. M. Różańskiego w „Tygodniku Ilustrowanym", 1883, II.

(Dokończenie ze str. 6)

Dudzińskiego, i referat kierownika Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie, dr Czesława Peteckiego „Lecznictwo wiejskie na terenie województwa rzeszowskiego, jego rozwój i perspektywy". Z tym ostatnim referatem łączyło się wystąpienie dr B. Saldaka, dyrektora Departamentu Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, omawiające aktualny stan, zadania i perspektywy rozwojowe lecznictwa wiejskiego w Polsce.

Drugą grupę stanowiły referaty i filmy dokumentalne związane z ekspedycją naukowo-badawczą w Bieszczadach, prowadzoną w roku ubiegłym przez Instytut Medycyny i Higieny Wsi w Lublinie i Wojewódzką Stację Sanitarno-Epidemiologiczną w Rzeszowie w 135 wsiach dwu bieszczadzkich powiatów, leskiego i ustrzyckiego.

Kilka danych zebranych przez ekspedycję:

Przeprowadzono badania higieniczno-ankietowe w 3.401 zagrodach. Na 3.436 budynków mieszkalnych, 2.131 jest pod wspólnych dachem z budynkami gospodarskimi. Na 3.436 budynków mieszkalnych tylko w 2.827 są ustępy. Na 2.827 ustępów, dobrych jest 768, złych 2.059! (podkreślenie autora).

Skontrolowano 1.399 studzien. Złych i niepewnych studzien jest 1.302!

Oto jeszcze jeden argument przemawiający za celowością środków przyznanych ostatnio przez państwo na poprawę zaopatrzenia wsi w wodę. Oto dlaczego tak często mówi się o tym na zebraniach wiejskich, wspomina w postulatach do rad narodowych, Sejmu.

Aby hasło „miesiąca oszczędności" „Oszczędzaj, ale nie na mydle" nie było pustym dźwiękiem, a statystyka jego zużycia nie dostarczała felietonistom materiałów do makabrycznej wesołości, ludzie muszą mieć wodę. Zdrową wodę, w wystarczającej ilości, zarówno do spożycia, jak i kąpieli. Znam wioski w czasie „suchego roku", w których jedynym źródłem zaopatrzenia w wodę jest płytki strumyk, z którego korzystają ludzie, ptactwo, zwierzęta domowe i leśne.

Nie można się później dziwić faktom zebranym przez ekspedycję: wyniki badań parazytologicznych zebranych w kilku wsiach bieszczadzkich wskazują, że zarobaczenie u ludzi wynosi od 30—95 proc. (!) badanych. Nie jest to zresztą problem jakiegoś wybranego, specyficznego rejonu, jakim niewątpliwie są Bieszczady. Wielu dyskutantów z różnych stron kraju sygnalizowało go z całą ostrością.

Doktór Czesław Petecki przytoczył w swym referacie fragmenty dwóch książek reportażowych omawiających między innymi sytuację zdrowotną wsi rzeszowskiej w okresie międzywojennym. Czyta się ten fragment z „Sztafety" Melchiora Wańkowicza, jak bajki o złych duchach:

„Zagadnienie człowieka w COP-ie, skoro już ten człowiek ma pracę, musi rozwiązywać nie tylko sprawę oświaty i kształcenia zawodowego, ale i sprawę zdrowia. Chlubimy się największym przyrostem ludności w Europie, liczymy, iż w 1955 roku będziemy większym narodem niż Francja, ale z pola naszego widzenia usuwa się ten straszliwy upust siły, jaki sprawia zły stan zdrowia ludności, ta gruźlica zabierająca co siódmego człowieka i przynosząca stratę w naszym majątku narodowym, wg obliczeń Towarzystwa Przeciwgruźliczego, na 6 miliardów złotych rocznie, te choroby weneryczne trzymające w szponach około 900.000 ludzi, jaglica, żrąca oczy setek tysięcy, po zapadłych wsiach; infekcje, epidemie, degeneracja, straszliwa danina płacona przez kobiety ginące jak bezbronne zwierzęta w mękach porodowych.

To tu, w COP-ie, do którego dołącza się cywilizacja innego rzędu, którego człowiek z nagła jest przeniesiony w całkiem obcy klimat, pod inne ciśnienie, to tu w COP-ie musi powtórzyć się straszliwe żniwo chorób i wynaturzeń, przez które przeszła w swoim czasie chłopska ludność Zagłębia Naftowego.

W szpitalu w Rzeszowie i obecnie lokuje się na jednym łóżku po 2 chorych, a jak dzieci — to po troje".

W tym samym wystąpieniu doktora Peteckiego czytamy:

„W porównaniu z rokiem 1938 zgony niemowląt spadły u nas trzykrotnie". „Zgony niemowląt kształtują się o 6,2 niżej od średniej krajowej". „Opiekę leczniczo-profilaktyczną na wsi sprawują 94 ośrodki, 20 spółdzielni zdrowia, jak również 19 ośrodków w miasteczkach, których 95 proc. podopiecznych stanowi ludność wiejska".

Dane te nie obejmują pomocy leczniczo-specjalistycznej, przychodni obwodowych, rejonowych, wojewódzkich. Nie mówią nic o gabinetach dentystycznych, ambulansach, izbach porodowych, aptekach. W ciągu osiemnastu lat zrobiono w tym zakresie bardzo dużo. W ostatnich latach wybudowano kilkadziesiąt typowych ośrodków zdrowia, w wielu z nich zabezpieczono mieszkania dla personelu. Do 1965 roku ma powstać dalszych 15 wiejskich ośrodków zdrowia z funduszów państwowych, jedenaście ze środków własnych ludności. Rozwijająca się w bardzo przychylnej atmosferze spółdzielczość zdrowia zamierza utworzyć dwadzieścia dwie spółdzielnie zdrowia.

A więc idylla, sielanka?...

Nie. Lektura rocznika statystycznego uczy nas, że województwo rzeszowskie należy do najuboższych w kadrę lekarską w kraju. W chwili obecnej brak tu nadal około 900 lekarzy medycyny i 450 stomatologów. W kilku powiatach, między innymi w kolbuszowskim, wskaźnik zatrudnienia lekarzy na 1.000 mieszkańców jest ogromnie niski, wynosi 0,1, w strzyżowskim i ropczyckim 0,2, leskim, brzozowskim, lubaczowskim 0,3...

SPOTKANIA i KONFRONTACJE

Jeśli przyjrzeć się bliżej rocznemu przypływowi kadry lekarskiej do województwa, trudno mieć złudzenia, by mogła nastąpić jakaś szybka, radykalna poprawa.

Czy rzeczywiście nie ma szans, by powiększyć liczbę lekarzy na wsi? A może po prostu za mało się robi, by tę sytuację zmienić. Na konferencji problem ten był dyskutowany szeroko i burzliwie. Wszyscy na ogół są zgodni, że nie rozwiążą go jedynie zarządzenia i nakazy. Część dyskutantów stwierdza: lekarz przyjdzie na wieś, jeśli znajdzie tam dobry warsztat pracy, mieszkanie i możliwości uzyskania specjalizacji.

Ostatnie rzeszowskie doświadczenia przekonanie to w pełni potwierdzają. Jeszcze nie ukończono budowy ośrodków zdrowia w Wojtkowej, Tarnowie, Ciśnie, a już na jedno miejsce jest tam od 15—20 kandydatów lekarzy. 28 zgłosiło się z propozycją objęcia pracy w ośrodku zdrowia w Ciśnie. Jest w tym 11 małżeństw lekarskich różnych specjalności.

A przecież żaden z tych ośrodków nie stwarza jakichś wyjątkowych możliwości zarobków. Ba, co więcej: znajdują się one w tej części województwa, gdzie jeszcze tak niedawno było zupełnie bezludnie, gdzie jeszcze dziś nie jest łatwo. Odpowiedź jest prosta. Każdy z ośrodków zapewnia lekarzowi mieszkanie. Już chyba niedługo, za kilka miesięcy bieszczadzki ośrodek zdrowia w Ciśnie, przypominający niemal mały powiatowy szpital, będzie fotografowany, filmowany, opisywany jak coś niezwykłego. Pięknie położony, zaprojektowany z rozmachem — musi się podobać.

W DRUGIM dniu obrad rzeszowskiej konferencji problemu higienizacji wsi dotyczyły zarówno trzy referaty przedstawicieli Wojewódzkich Stacji Sanitarno-Epidemiologicznych z Poznania, Krakowa i Rzeszowa, jak i wystąpienie twórcy pojęcia „higienizacja wsi" oraz jej niestrudzonego propagatora, profesora dr Józefa Parnasa, dyrektora lubelskiego Instytutu Higieny Pracy i Medycyny Wsi.

Nie sposób bez ryzyka spłycenia problemu przedstawić wszystkie tendencje ruchu higienizacyjnego w Polsce. W każdym razie jedno jest pewne.

Zaczyna nam w Polsce narastać nowe, ogarniające coraz szersze kręgi społeczeństwa, zjawisko nadrabiania zaległości sanitarnych wsi. Pocieszające jest chyba również i to, że higienizacja wsi rozwija się w ścisłym związku z potrzebami i możliwościami poszczególnych środowisk. Należy więc wierzyć w trwałość i skuteczność poczynań.

Bardzo charakterystyczne są tu doświadczenia ruchu higienizacyjnego w Rzeszowskiem. Zrodził się on tam, gdzie było najtrudniej: we wsiach i gromadach. W wielu wypadkach był następstwem działalności szkoły zdrowia, czy kursów sanitarnych PCK. Uczestnicy ich nie chcieli być tylko słuchaczami. To, o czym mówiono na wykładzie, to, co widzieli w oświatowym filmie, pragnęli wprowadzić u siebie. Powstały grupy ludzi na wsi i w miasteczkach, które zaczęły gromadzić środki na budowę wiejskich łaźni, wodociągów, ośrodków zdrowia. W stosunkowo krótkim czasie zorganizowano w Rzeszowskiem około 120 gromadzkich i ponad 20 powiatowych komitetów higienizacji wsi.

Władzom powiatowym, wojewódzkim i gromadzkim przybył jeszcze jeden klient domagający się cementu, planów i dokumentacji wodociągów grawitacyjnych. Klient, który nie ma nic z pokornego petenta wysiadującego w poczekalniach, ale który wytrwale, stanowczo dochodzi swoich praw. Być może ten dynamiczny charakter szeregu komitetów higienizacyjnych wynika z połączenia młodej niecierpliwości (członkami szeregu komitetów są ludzie z ZMW) ze spokojnym wyliczeniem fachowców. (W działalności komitetów bardzo aktywną rolę spełniają stacje sanitarno-epidemiologiczne i wydziały zdrowia).

Ten oddolny, często żywiołowy jeszcze ruch higienizacji wsi w Rzeszowskiem jest dla mnie logiczną konsekwencją dokonujących się obecnie na wsi przemian. Ma on chyba pewne związki z osiemnastoma tysiącami zezwoleń na budowę domów wydanych rzeszowskim chłopom w roku ubiegłym, czy ze wzrastającym z roku na rok zainteresowaniem książką, oraz z szeregiem kulturalnych inicjatyw rzeszowskiej wsi. Tysiące ludzi chce żyć inaczej: lepiej, kulturalniej, czyściej. Chce to osiągnąć bez konieczności wyjazdu ze swego miejsca zamieszkania.

W zabezpieczeniu lekarskiej opieki pomocy i porady widzą oni nie tylko awans swej wioski, ale według tego określają własne życiowe plany. 4 października specjalną uchwałą prezydium WRN powołany został jako ostatni — Wojewódzki Komitet Higienizacji Wsi. A więc postąpiono odwrotnie, jak w wielu innych województwach.

PRZEWODNICZĄCY naukowej Konferencji, profesor doktór Parnas, oceniając przebieg i organizację, złożył szczególne wyrazy uznania dla dwu głównych jej organizatorów: dyrektora Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Rzeszowie, doktora Zygmunta Mazurka, i kierownika Wydziału Zdrowia Prezydium WRN, doktora Czesława Peteckiego.

Jest jeszcze jeden aspekt rzeszowskiego spotkania lekarzy i działaczy medycyny wiejskiej. I sekretarz KW Partii w Rzeszowie, Władysław Kruczek, otwierając obrady wskazywał na ścisły związek, jaki istnieje między stanem sanitarnym wsi, zdrowiem jej mieszkańców a procesami przemian ekonomiczno-społecznych zachodzącymi w województwie rzeszowskim i w kraju.

Podczas dalszych obrad i dyskusji wielokrotnie wskazywano na konieczność takiego właśnie kompleksowego rozwiązania współczesnych problemów zdrowotnych wsi. Nie może to być jedynie działanie grupy ludzi ożywionych najpiękniejszymi nawet ideałami. Zagadnienie wymaga szeregu dużych posunięć organizatorskich, łączenia różnych instytucji i organizacji. Nie jest to sprawa ani łatwa, ani prosta w kraju, którego piętą Achillesową jest ciągle ustający brak koordynacji.

Dlatego też co najmniej dziwny wydaje się fakt, że w obradach, poza kierownictwa Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego, przedstawicieli Wydziału Zdrowia, tak nieliczny był udział reprezentantów innych wydziałów rad narodowych. Nie usprawiedliwia tego nawet brak oficjalnego zaproszenia do wzięcia udziału w obradach.

Na konferencji wygłoszono dwa referaty, które poza swoją ważką treścią miały specjalne znaczenie, były to referat prof. dr St. Liebharta z Akademii Medycznej w Lublinie „Wpływ pracy i warunków bytowych kobiety wiejskiej na czynność i schorzenia narządu rodnego" i referat prof. dr J. Bugusza z Akademii Medycznej w Krakowie „Z zagadnień odpowiedzialności lekarza". Otóż nas, rzeszowian bardzo uradował fakt, że dwa najbliższe nam medyczne ośrodki naukowe spotykają się w naszym mieście, które jest dotąd takiego ośrodka pozbawione. Wiem, że dla wielu młodych lekarzy przysłuchujących się obradom były to wystąpienia niezwykle cenne.

Konferencja zakończyła swe obrady w Bieszczadach. Goście mieli możność zetknąć się osobiście z częścią terenów, w których działała zeszłoroczna „Biała Ekspedycja", i porównać je z materiałem dokumentalnym pierwszego dnia obrad. Jest coś niemal symbolicznego w tym, że mogli oni dotrzeć do centrum Bieszczadów w pierwszym dniu otwarcia słynnej „obwodnicy bieszczadzkiej", której funkcję dla tego zakątka kraju można porównać do ze znaczeniem krwioobiegu w ludzkim organizmie.

Adolf Jakubowicz

„I tak też bywa..."

HELENA PLATTA

OBWOLUTA książki eksponuje nazwisko autora: Adam Struś, oraz tytuł, w którym słowo: „Rok" w tonacji ciemnej przytłacza słowo: „w Miasteczku". — świecące białym literami na czarnej smudze podkreślającej kilka niskich, zielono-brązowych domków.

W tej ciemnej tonacji wkraczamy do miasteczka wraz z autorem:

„Nie tylko nie jestem potomkiem lekarza królów Józefa Strusia, lecz w ogóle nie nazywam się Struś. Ponieważ jednak nazwisko, które noszę, nie jest również moim nazwiskiem rodowym, ponadto zaś nie nabrało ono przez użytkowanie go przeze mnie żadnego znaczenia i nic nikomu nie mówi, podpisuję się jakimkolwiek. Jeśliby ktoś w kryptonimie zechciał dopatrzyć się aluzji do znanej polityki wielkiego ptaka biegającego — nie mam nic przeciwko temu".

Wkraczamy więc do miasteczka, jednego z wielu jeszcze małych, brzydkich i zaniedbanych miasteczek ze wschodnich województw kraju, dawnej Polski B. Opowiadanie toczy się wartko w formie pasjonującego pamiętnika, znaczonego datami dni od czerwca 1957 r. do czerwca 1958 r. Wyłania się z niego cała „specyfika" prowincji lubelskiej, i, choć autor stwierdza, że nie ma zasadniczego znaczenia, bowiem chodzi tu o sprawy ogólnopolskie, ogólnoludzkie, bezpośrednio dotyczące najgłębszych pokładów współczesnego życia, to jednak ci, co znają nasz „teren", nie mogą mieć wątpliwości, że wersja tych spraw ogólnych toczy się na Lubelszczyźnie.

Klimat książki jest taki, że nie mogę się oprzeć, by nie zacytować fragmentu ze wstępu do głośnej powieści „Ul", napisanej przez hiszpańskiego autora Camilo Jose Cela. Rekomendacja nieco staroświecka, lecz nie mniej trafna: „Ta moja książka nie pragnie być niczym więcej, — i niczym mniej, oczywiście, jak tylko strzępkiem życia, odtworzonego wiernie, krok po kroku... bez litości, tak, jak życie upływa, dokładnie tak, jak życie upływa".

„Rok w Miasteczku" to książka niewielka, licząca zaledwie 115 stron, świetnie kondensująca w swej prawdziwości i aż wyrafinowanej prostocie charakterystykę autora i jego otoczenia, włącznie z przerywnikami krótkich spojrzeń jakby — nie na krajobraz, lecz tylko na dającą oddech zieleń kilkunastu drzew ogrodu szpitalnego.

Życie miasteczka nasycone szarzyzną, od której odwraca oczy samotnik dla zaczerpnięcia sił, nie jest jednak szare. Przy bliższym poznaniu bywa aż... czarne od zdarzeń drastycznych, bolesnych, z którymi niektórzy ludzie nie zdołali się pogodzić. Nie jest też tak monotonne, jak zwykło się powtarzać. Na przestrzeni roku dzieje się wiele „na dobre i na złe". Trzeba to tylko zobaczyć.

Umiał zobaczyć je lekarz, autor, przybysz z wielkiego miasta, który zapragnął „zaszyć się" tutaj po jakichś dotkliwych rozczarowaniach, czy osobistych klęskach.

„Przyjechałem tu po prostu jako człowiek zrezygnowany, samotny i pragnący samotności oraz całkowitej zmiany środowiska".

Mimo pragnienia niereagowania na sprawy otoczenia, wbrew swym zamiarom, pozostaje on obojętny na wszelkie przejawy ciemnoty, kołtuństwa, niegodziwego szwindle i szwindelki, na wszelkie zawiłe metody „cwaniackie". Próbuje dla „świętego spokoju" dostosować się do środowiska, ale próbuje również pracować uczciwie, próbuje działalności w pracy społecznej na polepszenia warunków placówki szpitalnej, ośrodka zdrowia, powiatowego wydziału zdrowia, lecz ostatecznie „wygryziony" przez klikę „cwaniaków" — staje przed perspektywą opuszczenia zakątka, w którym szukał wytchnienia i spokoju, lecz znalazł tylko dalszy ciąg udręk — chociaż nie epizodycznych — jednak nie mniej dotkliwych.

Taka jest „z grubsza" treść książki, której wstrząsającą lapidarnością wysuwa się na plan pierwszy dramatyczny fragment śmierci w szpitalu siedemnastoletniej dziewczynki. Innego rodzaju, lecz równie lapidarnie podane, a wstrząsające są fakty, ujawniające poziom moralny wsi, gdy mowa o tym, że na porządku dziennym zdarza się tam współżycie seksualne córek z ojcem, sióstr z braćmi.

Doskonale wtopione w tekst, w taki sposób wiadania dane statystyczne opracowywane przez lekarza stają się odkrywczym przyczynkiem wiedzy o rzeczywistości wsi i miasteczek.

Prawdziwym nieszczęściem, któremu jednak „przekorny" przybysz mimo swych usiłowań nie uległ, jest nieczułość, niewrażliwość, obojętność ludzi tego jednego z tysiąca małych miast — na wszystko złe dziejące się dookoła, i wydaje mi się, że z tym podkreślonym mocnymi i ostrymi pociągnięciami pióra obrazie — jasnym promieniem optymizmu, a więc nadziei, rysuje się mimo wszystko postawa lekarza, mimo że tak pisze w swym dzienniczku:

„...Nie wiem, czy mu zazdrościć umiejętności nieprzejmowania się niczym. Wątpię, abym ją zdobył kiedykolwiek. Chyba jest to kwestia różnicy temperamentów. Z drugiej znów strony, sądząc powszechnie przyjętymi miarami dyrektor wykazał przecież w życiu nieporównanie więcej temperamentu niż ja. Ma żonę, pełną werwy i życia, kilkoro dzieci, zasobny dom, auto, dostatek, spokój. Ja nie mam niczego. Jeśli tkwi w tym jakiś błąd, to przede wszystkim jest we mnie. Może jednak rzeczywiście nie wolno to tego wszystkiego brać na serio".

Opowiadanie zostało nagrodzone na ogólnopolskim konkursie. W książkowym wydaniu „Czytelnika" ukazało się parę miesięcy temu. Książka uznana jest za jedną z najciekawszych w tym roku w Polsce, a wyszła spod pióra autora, który jest rodowitym lublinianinem, w Lublinie przebywającym. Możemy więc cieszyć się jego sukcesem.

[L]ist do Redakcji

[W] SPRAWIE „MATEK" *

…gniemy serdecznie podziękować Redakcji „Kameny" za życzliwe udostępnienie …ych łamów na dyskusję o organizacji …owanej instytucji opiekuńczo-wychowawczej.

…pozycja ta, jak wiadomo, mówi o tym, … w wybudowanych domkach i całym …dlu obsadzić „matki". Na realizację … właśnie propozycji otrzymało n/Koło …kie potrzebne zezwolenia i aprobaty. …ząd koła nigdy nie występował z wnios… o budowę osiedla, w którym obsa… byłyby małżeństwa. Osiedla takie …ały przed wojną pod nazwą „Gniazd …ocych", a Towarzystwo, które je pro…ło — po śmierci swego założyciela — …mierza Jeżewskiego — zostało wraz z …mi w 1946 roku rozwiązane. Byli …kowie tego Towarzystwa, na czele z dyrektorem „Gniazd Sierocych" i „Wiosek Kościuszkowskich" — Wacławem Weicze… zgrupowani są dzisiaj w warszaw… Kole Przyjaciół Dzieci noszącym imię …omnianego Twórcy „gniazd". To oni …gali i zabiegają o reaktywowanie To…rzystwa i utworzenie „Gniazd Sierocych" z małżeństwami.

…czego wystąpiliśmy z propozycją wio… z „matkami"? Dlatego, że wioski takie …y już praktyczny egzamin w kilkunas…krajach i wciąż nowe państwa przystępują do ich zakładania. A więc wykazały …wą wyższość — wychowawczą i fi…nsową — nad wszelkimi innymi formami opieki zakładowej tego rodzaju. …atnio, jak informuje nas biuletyn …ynarodowego Biura Wiosek SOS, do …nizacji wiosek przystąpiła Finlandia …echosłowacja.

…stytucja opieki sprawowanej przez sa…ą „matkę" mniej idealna od wychowania przez małżeństwo w domach typu …laszów" — jest za to praktycznie łat…za do realizacji. Bo jakie są szanse …nalezienie małżeństwa, które chciało… podjąć się proponowanej im roli. Jeś… nawet zgłosi się kilka małżeństw, które …łyby podjąć się tej funkcji, to bę… to liczba niezbyt wielka. Następnie …my zgłoszone małżeństwa poddać ana… i wybrać z nich te, które odpowia…łyby stawianym warunkom. Czyż w …ie analizy nie odpadłyby małżeństwa, …ym głównie chodziłoby o zdobycie …kania.

…eszłą próba taka była po wojnie już …owana i nawet wyszło zarządzenie … Ośw. w tym względzie. Jednak nie …hać o wielkim napływie rodzin chęt…ch do przyjęcia opieki, ani nie słychać o …ch domach poza Rodzinnym Domem …laszów.

…zedstawiciel Zarządu zwiedził Dom …laszów i był nim zachwycony. Szcze…ie uderzyła go ofiarność i poświęcenie samych małżonków. Ich zgodność w …eniu służenia dzieciom. Małżeństwo …st doprawdy idealne. Ale, jak wiado…, ideały są z zasady wyjątkami. Pro…wana przez nas „matka" ma być na…zwyklejszą z kobiet, która nie … możliwości zaspokojenia instynktu …erzyńskiego.

…bieta taka po krótkim przeszkoleniu i …ktyce jako zastępczyni „matki" dosta… grupkę dzieci i dom, które mogłaby …ważać swoimi dziećmi i swoim domem. …rta taka miałaby szansę wypełnienia …go życia i znalezienia racji swego ist…nia. Stałaby się komuś potrzebna, a …adomość tego podniosłaby znacznie jej …opoczucie i ułatwiła wykonywanie nie…pliwie trudnych obowiązków „rodzi…ki" i opiekunki.

…r Herman Gmeiner (twórca Wiosek …) proszony o podanie wypadków szcze…ie trudnych w prowadzeniu Wiosek oraz …by „matek", które odeszły, odpisał nam, … wypadków odejścia nie było zupełnie, … wszystkie trudności wychowawcze poko…ane były bez większych kłopotów już … przez same „matki" już to przez kie…ika Wioski, czy też przez grupę pe…ogów i wychowawców, działającą przy …dym Osiedlu.

…ioski austriackie na 100 zgłaszających … kobiet wybierają średnio 5. Nie stawia… jednak wymogów co do wykształcenia …agogicznego. „Matka" może być kobietą …et po szkole podstawowej, tak jak i w …malnych rodzinach bardzo dobrymi mat… … są często kobiety nawet o niższym …ształceniu.

…a trzeba zaznaczyć, że w każdej wiosce …ej sekretarz (mężczyzna) zajmuje się …gólnie przygotowaniem dzieci do lek… …szkolnych. W tym celu utworzone są … kółka samokształceniowe, dokształ…ce itp.

…zywiście podany w naszym biuletynie … matki 21—36 lat jest dyskusyjny. Tak … …ine są inne szczegóły propo…

… S. J. Roztworowskiego w … z dn. 31.X br.

Nie był dyskusyjny tylko sam projekt oparcia instytucji wychowania na „matkach". Bo projekt ten nie może być już dyskutowany. Mógł być odrzucony lub przyjęty. Dyskusja nad tym, czy go przyjąć czy go odrzucić — trwała przeszło dwa lata. Jej wynik jest taki, że projekt został przyjęty przez wszystkie instytucje, a więc przez Prezydium MRN, Kuratorium Lubelskie, Powiatowy Wydział Zdrowia, Wojewódzki Wydział Zdrowia, Ministerstwo Zdrowia, Ministerstwo Sprawiedliwości, Ministerstwo Oświaty i wszystkie instancje TPD.

Piszemy o tym dla wyjaśnienia sprawy. Koło swej propozycji nie wycofa, tak jak nie anulują swych zezwoleń wymienione instytucje. Próba realizacji propozycji powinna być dokonana.

Zebrane w naszej Księdze Pamiątkowej wypowiedzi i deklaracje, zebrane przez nas pieniądze od różnych instytucji i zakładów pracy, ofiarowane zostały wyraźnie na budowę Osiedla z „matkami".

Nie podaliśmy jednak jeszcze wszystkich argumentów przemawiających za „matką". Np. sprawa ew. „zakorkowania" domków przez małżeństwa, które mogłyby zrzec się z czasem prowadzenia opieki, lub którym ta opieka musiałaby zostać odebrana; np. sprawa różnic, jakie mogłyby powstać w stosunku rodziców do dzieci własnych i przybranych itd. — nie zostały omówione. Nie zostały omówione także wszystkie problemy „matki".

Wyczerpanie tych zagadnień wymagałoby osobnego opracowania.

Powstające Osiedle, poza opieką Inspektoratu Oświaty w Kraśniku i Kuratorium Lubelskiego, zyska niewątpliwie żywsze zainteresowanie Katedry Pedagogiki UMCS, a także Koła Socjologów w Lublinie, gdzie mówi się o pisaniu prac doktorskich na temat tworzącej się instytucji opiekuńczej.

Prosimy naszego listu nie rozumieć jako chęci przeciwdziałania dyskusji. Powtarzamy jeszcze raz, że jesteśmy jak najbardziej za tym, aby dyskusja ta trwała. Jesteśmy przeświadczeni, iż przyniesć ona może nowe argumenty za słusznością wprowadzenia instytucji „matki", a także odkryć może nowe momenty przemawiające na niekorzyść tej koncepcji. Znajomość słabych stron proponowanego przedsięwzięcia pozwoli na wcześniejsze przeciwdziałanie i wyszukanie skutecznych środków zaradczych, a rozszerzenie argumentacji za „matką", zjedna nowych przyjaciół i zwolenników tej formy opieki.

Zwolenników, których oczekujemy i na których przyszłą współpracę bardzo liczymy.

Kraśnik Fabryczny, XI 1962 r.

Krystyna Dobromilska
Anna Meissner
Czesław Szmigielski

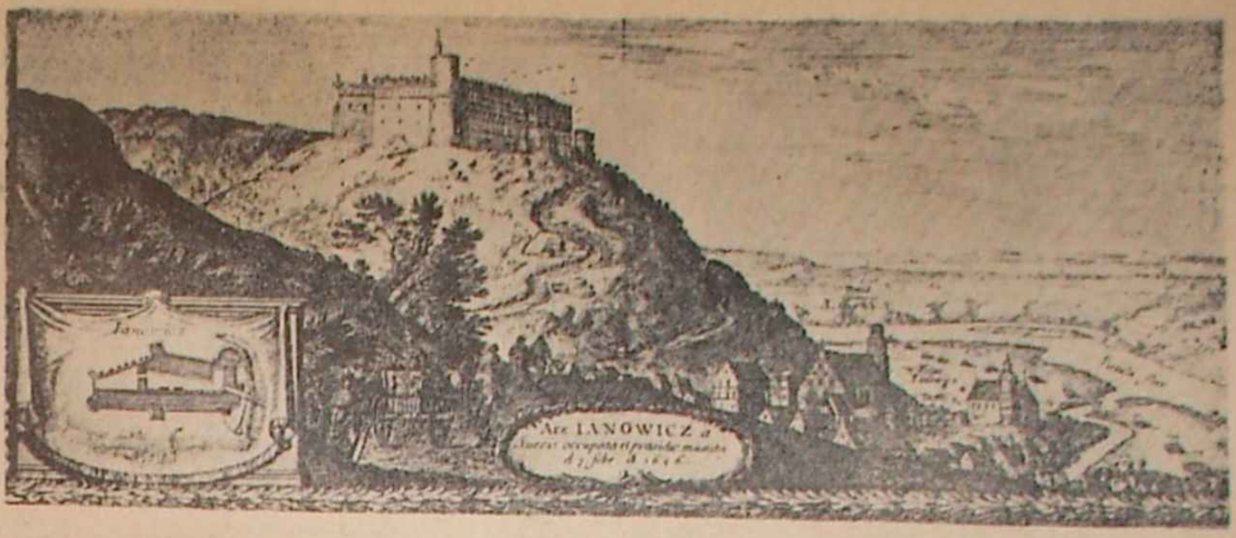

Janowiec w czasach Potopu. Rycina z dzieła S. Pufendorfa „De rebus a Carolo Gustavo... gestis... Norymberga 1696, wyk. wg rysunku S. Dahlberga.

LEGENDA I FIKCJA LITERACKA

(Dokończenie ze str. 13)

powiada się, że posiadał on 2 dziedzińce, 7 wielkich sal oraz 98 pokoi. Liczby te biorą początek również od Klementyny Hoffmanowej, lecz tym razem z „Opisów różnych okolic Królestwa Polskiego", publikowanych po raz pierwszy w „Rozrywkach dla dzieci" w tomie trzecim z 1825 roku. W jaki sposób autorka doszła do tych liczb lub z czyich czerpała je relacji — nie wiadomo. Dwa dziedzińce nawet w obecnym stanie zniszczeń są łatwe do zauważenia. O ile jednak analizując pierwotny układ przestrzenny zamku można doliczyć się siedmiu wielkich sal, to pokoi w istocie było „tylko" około 55. Liczbę tę można by nieco podnieść jedynie przez dorzucenie piwnic, kazamat, korytarzy, galerii i klatek schodowych.

Rozbieżności w rzeczywistym i literackim umiejscowieniu romansu Franciszki Krasińskiej oraz dowolność potraktowania postaci Marcina Lubomirskiego zostały pominięte milczeniem w wydaniu „Dziennika" Biblioteki Narodowej z komentarzem Idy Kotowej (Kraków 1929). Wskazało je dopiero opracowanie ostatniej edycji PIW z 1961 r. przez Zofię Lewinównę. Nie zostały jednak do tej pory sprostowane nieścisłości, jakimi Hoffmanowa obciążyła dzieje janowieckiego zamku.

Wszystkie trzy powyższe fałszywe legendy dotyczące Zawieprzyc, Krupego i Janowca tkwią swymi korzeniami w powieści historycznej pierwszej połowy XIX w. W czasach tych brak było dostatecznej ilości opracowań naukowych dla zaspokojenia gwałtownie rosnących zainteresowań przeszłością. Lukę tę u szerokiego kręgu odbiorców pozornie wypełniały romanse historyczne. Cechy prawdopodobieństwa nadawały tym powieściom postaci bohaterów o głośnych w historii nazwiskach oraz bardzo konkretne umiejscawianie akcji.

Dlatego brane za dobrą monetę informacje z powieści wkroczyły do literatury starożytniczej, znalazły się w opisach rycin w „Przyjacielu Ludu", „Kłosach", „Tygodniku Ilustrowanym", w hasłach Słownika Geograficznego. Fantazje te umieściła również w swym sprawozdaniu delegacja do opisywania zabytków starożytności w Królestwie Polskim, działająca pod kierunkiem Kazimierza Stronczyńskiego z długimi przerwami od 1844 do 1855 r.

Mimo, że instrukcja Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchowych zalecała oparcie się głównie na archiwaliach, wykonawcy tej pionierskiej pracy wobec ograniczonego czasu, szczupłych możliwości finansowych i trudności poszukiwań w nieuporządkowanych archiwach, musieli korzystać z pozycji drukowanych, co było dopuszczalne tylko w ostateczności.

Inwentaryzacja Stronczyńskiego w znacznej mierze ma charakter źródłowy, lecz opierające się na niej późniejsze opracowania czerpią wraz z rzetelnymi informacjami wiadomości zapożyczone bezkrytycznie z literatury.

Ciekawe jest pełne zaufanie, którym obdarzano informacje zawarte w powieściach mimo toczącej się w połowie XIX wieku dyskusji o tym, jak daleko sięgają prawa autora romansu historycznego do tworzenia fikcji literackiej

„Dziennik Franciszki Krasińskiej" należy dziś do klasycznych pozycji naszej literatury i przeżywa swe wznowienia. Dla Bronikowskiego i Czajkowskiego próba czasu nie wypadła tak pomyślnie. Odnoszą jednak cichy triumf, gdy stworzone przez nich fikcyjne postaci i sytuacje wciąż wprowadzają w błąd i niepokoją i w ten sposób każą płacić cenę zapomnienia.

Mieczysław Kurzątkowski

PRZYPISY

1. Wielka Encyklopedia Powszechna ser. I, t. XLV—XLVI, Warszawa 1911, s. 853, hasło Miączyński Atanazy.
2. S. Łoza: Architekci i budowniczowie w Polsce, Warszawa 1954, s. 317.
3. Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego, t. XIV, Warszawa 1895, s. 493, hasło Zawieprzyce.
4. R. Heidenstein: Rerum polonicarum ab excessu Sigismundi Augusti libri. XII. Francofurti ad Moenum 1672, s. 219.
5. Archiwum Jana Zamojskiego, t. I, wyd. W. Sobieski, Warszawa 1904, s. 287.
6. Heidenstein, j. w.,
7. X.A.S.P.: Zamek w Krupie. „Przyjaciel Ludu", VI, 1840, nr 43, s. 338—339.
8. K. W. Wójcicki: Samuel Zborowski. „Niezapominajki — Noworocznik na rok 1843", Warszawa b.r. wyd., s. 268—269.
9. L. S(iemieński) (wyd), Pamiętniki o Samuelu Zborowskim, Poznań 1844, s. VIII.
10. M. Baliński i T. Lipiński: Starożytna Polska, t. II, Warszawa 1844, s. 788—798.
11. F. Sobieszczański: Wiadomości historyczne o sztukach pięknych, t. II, Warszawa 1847, s. 148—149.
12. Opisy zabytków starożytności w Gubernii Lubelskiej, rkps w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie, s. 271—273.
13. „Biblioteka Warszawska", 1850, t. I, s. 463—476.
14. W. Chomentowski: Przygody Marcina Lubomirskiego, Warszawa 1867, s. 12—35.
15. M. Walicki: Sprawa inwentaryzacji zabytków w dobie Królestwa Polskiego, Warszawa 1931, s. 55, 61—67.

Podziękowanie

Zarządowi Głównemu Związku Literatów Polskich, Redakcji „Sztandaru Ludu", Towarzystwu Przyjaciół Ziemi Chełmskiej, Koleżankom i Kolegom, dawnym Wychowankom i tym wszystkim, którzy mi złożyli życzenia z okazji 65 rocznicy moich urodzin, składam najserdeczniejsze podziękowanie.

Kazimierz Andrzej Jaworski

[H]obby... czy miłość?

(Dokończenie ze str. 11)

… że kiedy przez kilka dni wieje tęgi wiatr, to …et i kopać nie trzeba: na samej powierzchni …na wtedy znaleźć monety z czasów Zygmunta …usta, Jana Kazimierza, że nie wspomnimy o naj…ularniejszych — Stanisława Augusta. Nie należą do rzadkości monety rzymskie, a przed kilkuna… laty trafiły się też dwie z czasów panowania… …szka I. Te znaleziska również zasiliły niejedno …zeum, mimo to w domu ma Władysław Litwiń…k jeszcze parę okazów, które by zachwyciły nie…nego numizmatyka.

…akim oto niezwykłym rolnikiem jest pan Litwiń…k. Czy można się wobec tego dziwić, że żadna …tieczka odwiedzająca Suraż nie wyjedzie stąd …ed obejrzeniem jego zagrody? Ba, niektóre spe…nie tylko po to tu przyjeżdżają. A że zawód rol… … wymaga częstszego pobytu na polu niż w domu, … też nieszczęsny amator starożytności musi rad …ad rzucać w połowie swoją pracę i pełnić rolę przewodnika i kustosza zarazem. Trzeba przyznać, że robi to bez specjalnej niechęci, któryż bowiem hobbysta oprze się pokusie pokazania raz jeszcze swoich zbiorów. Inna rzecz, że władze miejskie, tak dumne ze swego zbieracza i jego kolekcji, mogłyby już wreszcie pomyśleć o jakimś bardziej odpowiednim locum dla tych zbiorów. W przyszłym roku Suraż obchodzić będzie któreś tam -lecie otrzymania praw miejskich, a choć tych 500 czy 600 lat w porównaniu z rzeczywistymi dziejami miejscowości jest przysłowiową kroplą w morzu, to jednak na tym właśnie jubileuszu skupi się uwaga władz powiatowych i wojewódzkich. Czy przy tej okazji nie da się wytargować jakiejś salki?

Wróćmy jednak jeszcze na chwilę do pana Litwińczuka i jego hobby. O właśnie, znów użyłem tego słowa, a przecież wcale nie jestem pewien, czy słowo „hobby" wyraża w sposób adekwatny jego zamiłowanie. Bo hobby — to według jednych zwykły bzik, według innych — mania, według jeszcze innych — pasja życiowa. A zbieranie zabytków archeologicznych i okazów geologicznych jest u pana Litwińczuka przejawem wielkiej, prawdziwej miłości do Suraża. Takie słowa brzmią dziś może w naszych czasach trochę teatralnie, patetycznie Jesteśmy, na zewnątrz przynajmniej, oschli i cyniczni, chętnie posługujemy się półsłówkami, by wyrazić swoje półuczucia.

Cóż jednak, jeśli nie miłość do rodzinnego miasteczka, skłoniło tego dziwnego rolnika do studiowania coraz to poważniejszych książek i artykułów z zakresu geologii i archeologii? Co skłoniło go do poświęcenia całego swego wolnego czasu temu niecodziennemu zajęciu, do kontaktowania się z naukowcami, do wysyłania na własny koszt skrzyń ze zbiorami do muzeów?

Odpowiedź na te pytania dał mi sam zbieracz (lub jeśli kto woli: badacz). Mimochodem, wcale o to nie pytany, bez używania wielkich słów wyraził swój stosunek do zbiorów i miasta:

— Może kiedy zbierze się tego dużo, kiedy udowodni się historyczną przeszłość Suraża, wtedy władze nie odbiorą mu praw miejskich?

Nie wiem. Może się mylę, ale wydaje mi się, że w tych prostych słowach wyraża się coś więcej niż pasja zbieracza, coś więcej niż mania hobbysty. Dlatego w tytule niniejszej publikacji pozwoliłem sobie na postawienie pytania, choć osobiście przeświadczony jestem, że to jest pytanie retoryczne.

Ryszard Kraśko

Z PARYŻA

Otrzymaliśmy niedawno z Paryża zdjęcie z niecodziennej uroczystości o dużym znaczeniu kulturalnym.

Latem br. odbył się w stolicy Francji Międzynarodowy Kongres Miłośników Exlibrisu, w którym uczestniczyło około stu kolekcjonerów z całego świata, w tym również z Polski w osobie dr Tadeusza Przypkowskiego, dyrektora Państwowego Muzeum Zegarów w Jędrzejowie, zbieracza exlibrisów i działacza Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Książki. Otwarta była również wystawa exlibrisów w Galerie d' Orsay, przy czym polskie eksponaty, będące połączeniem zbiorów kilku bibliotek publicznych uzyskały pierwszą nagrodę za wysoki poziom artystyczny. Kolekcja ta była w poprzednich latach wystawiona częściowo na podobnych wystawach w Wiedniu i Lipsku.

W czasie kongresu miała miejsce również sympatyczna uroczystość dekoracji polskim Orderem Białego Kruka (honorowe odznaczenie polskich bibliofilów) przewodniczącego Kongresu, Lotaryńczyka z pochodzenia i przyjaciela Polski, dr André Herry'ego. Pierwszym obywatelem francuskim udekorowanym tym orderem był jeszcze w 1934 r. Ludwik Bartou.

Na zdjęciu stoją: z lewej — dr André Herry, który właśnie dziękuje za otrzymane odznaczenie, z prawej — dr Tadeusz Przypkowski, który w imieniu Kapituły Orderu dokonał dekoracji. Na piersiach obu widać rzeczony Order Białego Kruka. Po bokach siedzą przedstawiciele Włoch i Hiszpanii.

J.B.

Widzi mi się

75

MAM tę broszurę, która dziś jest białym krukiem — fundament, na którym oparła się pokaźna literatura przekładowa i oryginalna, bez którego nie odbywałyby się liczne kongresy krajowe i światowe (ostatni — tegoroczny w Kopenhadze), bez którego nie powstałby ruch trwający od trzech ćwierćwieczy.

Historyczna ta publikacja ma wygląd niepozorny. Na karcie tytułowej widnieje napis: Dr Esperanto. Język międzynarodowy. Przedmowa i podręcznik kompletny. Por Poloj. Motto: Aby język stał się powszechnym, nie wystarcza nazwać go takim. Cena kop. 15. Warszawa w Druk. i Lit. Ch. Keltera, ul. Nowolipie nr 11. 1887. Na odwrotnej stronie pośrodku niezbędne wówczas: „Dozwoleno cienzuroju. Warszawa 9 Ijula 1887 goda", a u dołu zdanie charakteryzujące skromność i bezinteresowność człowieka, który, nie ujawniając swego nazwiska i kryjąc się za pseudonimem, składał w ręce czytelnika owoc kilkunastu lat pracy: „Język międzynarodowy, jak każdy narodowy, jest własnością ogółu; autor zrzeka się na zawsze wszelkich praw osobistych do niego". Takim idealistą był twórca tego języka, lekarz białostocki, dr Ludwik Zamenhof, którego setną rocznicę urodzin uczcił 44 światowy kongres esperantystów przed trzema laty w Warszawie.

Autor broszury w przedmowie do niej wskazuje na trzy zagadnienia, które się łączą z wprowadzeniem w życie języka międzynarodowego: 1) jego łatwość, 2) jego użyteczność: aby każdy, kto go się nauczy, mógł natychmiast porozumiewać się z nim z ludźmi różnych narodowości niezależnie od tego, czy język będzie już uznany przez świat i 3) jego powszechność: znaleźć środek do przezwyciężenia obojętności świata i nakłonienia go do masowego używania go jak języka żywego.

Właśnie te trzy zagadnienia, jeśli chodzi o esperanto, w praktyce w dużym stopniu zdały egzamin, czego dowodem jest, że spośród trzydziestu z górą języków sztucznych (nie mówiąc o setce projektów) jedynie esperanto zwycięsko przetrwało dwie wojny światowe i dziś święci swoje 75-lecie. A przecież o kilka lat wcześniejszy od niego volapück, który przez pewien czas cieszył się ogromnym powodzeniem, upadł po dziesięciu latach. A któż dzisiaj pamięta o takich próbach, jak język niebieski bolak czy idiom neutral, które powstały po esperancie i nie przyjęły się wcale.

Esperanto jest nadzwyczaj łatwe: opiera się na 16 zasadniczych regułach, gramatyka jego nie ma żadnych wyjątków, słownik zawiera 2500 pierwiastków (początkowo było ich 900), zaczerpniętych z różnych języków europejskich, co ułatwia zapamiętanie ich przedstawicielom różnych narodowości: od tych pierwiastków za pomocą odpowiednich przedrostków i przyrostków można tworzyć mnóstwo wyrazów pochodnych. W przeciwieństwie do volapücku jest melodyjny i przypomina języki romańskie. Ta łatwość esperanta sprzyjała jego rozpowszechnieniu, tym bardziej, że język znalazł uznanie u wybitnych ludzi, jak językoznawca Max Müller, Henry Philips, Einstein, red. Gaston Moch, filolog L. de Beaufront(autor książki: „L'Esperanto seule vraie solution de la langue auxilieure internationale"), L. Tołstoj, a u nas prof. Beaudouin de Courtenay, dr Otto Bujwid, prof. prof. T. Kotarbiński i Z. Klemensiewicz. Autor „Wojny i pokoju" wyraził się w ten sposób o dziele d-ra Zamenhofa: „Ofiara, którą uczyni każdy człowiek poświęcając trochę czasu na nauczenie się esperanta tak jest mała, rezultaty zaś, które z tego wyniknąć mogą, tak są wielkie, że nie należy wstrzymywać się od wykonania tej próby."

Dziś, po 75 latach od powstania esperanta, widzimy, że w zupełności spełniły się dwa pierwsze warunki przytoczone we wspomnianej przedmowie: łatwość języka i jego użyteczność. Tysiące ludzi różnych narodowości na całej kuli ziemskiej z łatwością koresponduje między sobą i porozumiewa się na zjazdach i kongresach. Międzynarodowa prasa esperancka liczy obecnie ok. 90 tytułów, literatura przekładowa i oryginalna, mająca ok. 8 tysięcy pozycyj, rozwija się z każdym rokiem. Na esperanto przełożono wiele arcydzieł literatury światowej (Szekspir, Goethe, Molière, Cervantes, Dante, Puszkin, Baudelaire i in.). Z naszej literatury jeszcze dr Zamenhof przetłumaczył „Martę" Orzeszkowej, Antoni Grabowski przełożył „Pana Tadeusza", córka Zamenhofa — Lidia — „Quo vadis"; powstały tłumaczenia niektórych utworów Słowackiego, Krasińskiego, Fredry, Wyspiańskiego, Reymonta; przełożono „Faraona", wybór wierszy Tuwima, „Medaliony" Nałkowskiej, że wymienię tylko pozycje najważniejsze. W Hadze istnieje Akademia Esperanta czuwająca nad prawidłowym rozwojem języka, powstały różne międzynarodowe organizacje esperanckie łączące ludzi związanych wspólnym zawodem. W Wiedniu znajduje się Międzynarodowe Muzeum Esperanta. Od roku 1954 Unesco nawiązało stałą współpracę z UEA. W wielu krajach wprowadzono język esperancki do szkół jako język nadobowiązkowy. W Polsce esperanto jest przedmiotem obowiązkowym w warszawskiej szkole podstawowej im. L. Zamenhofa i w jednej ze szkół w Białymstoku. W Lublinie wprowadzono ten język jako jeden z dwu obowiązkowych do wyboru w Studium Nauczycielskim. To wszystko świadczy o tym, że esperanto przyjmuje się coraz bardziej. Ale masowość tego języka, jeszcze nie została osiągnięty. A przecież esperanto nie ma na celu zastąpienia istniejących języków żywych, lecz tylko pomoc w porozumiewaniu się wszystkich ludzi na świecie. Niechby każdy człowiek oprócz języka ojczystego znał esperanto, jakby to ułatwiło współżycie ludzi! A esperanto jako język dyplomatów usunąłby całkowicie konieczność korzystania z usług tłumaczy, którzy czasami mogą nawet więcej zaszkodzić niż pomóc.

X. Rovay

PRZYPOMINAMY O KONKURSIE „KAMENY

pod hasłem

„DZIEŃ POWSZEDNI NAUCZYCIEL

Termin nadsyłania prac mija z dniem 31.XII.62

Szczegóły w numerze 29 (z dn. 31.X.62)

Ceterum censeo

W n-rze 918 „Przekroju" z dn. 11 listopada b.r. na str. 16 przeczytałem takie zdanie — przekład z pamiętnika J. B. Priestleya: „Uwielbiam słuchać, gdy kobiety rozmawiają o szmatkach" Jak dotąd tylko czasownik lubić łączył się z bezokolicznikiem: lubię słuchać; synonimy jego kochać, uwielbiać, ubóstwiać itd. — tylko z rzeczownikiem w bierniku. Żartobliwie mówią niekiedy: kocham jeść. Ale tłumacz Priestleya chyba nie chciał żartować.

Kijowski w swym artykule w „Przeglądzie Kulturalnym" (że wrócę do niego jeszcze, chyba już po raz ostatni) przypomniał prof. Lehr-Spławińskiego, który zwrócił kiedyś uwagę, jak poprawny i literacki jest język gazet: „niedopuszczalny (podkr. moje) w nim nie tylko barbaryzm, nie tylko gwarowe wyrażenia (...), ale także wszelki prowincjonalizm..." (Język polski", Warszawa 1951 PWN). Niestety, nie mógłby tego powtórzyć w roku 1962. A przecież właśnie gazety, czasopisma (bardziej może niż czytane nie tak masowo książki), a prócz tego radio i telewizja kształtują współczesną polszczyznę.

Tymczasem ani rusz nie wypleni się z gazet, radia i telewizji „rąk precz od czegoś". Kiedyś było „od potem „od Konga", przed kilku niami „od Kuby". A przecież to nia rosyjska, po polsku mów precz z czymś.

Na własne uszy słyszałem przez radio o jakimś przedsiębio „wiodącym", a w audycji dla użył ktoś takiej formy czasu pr go: „będzie potrafił" Kiedy wpadł mi w ucho zwrot: pisz nas na adres", ba, pewien poet w n-rze 8 „Twórczości" tego ru mu aż sześć razy!

Na porządku dziennym zaró gazetach, jak i w pismach, na książkach i to podpisanych nie jakim nazwiskiem, występują dw cjalnie ulubione rusycyzmy: nie było" i „tym nie mniej". się to i przez radio i w telewizji.

Telewizja warszawska co m (ale czemu nie częściej?) ma w gramie audycję poświęconą czy języka pt. „I Polacy nie gęsi". nęlibyśmy, aby bezbłędność obow wała i inne wido- czy słuch wiska, reportaże i dzienniki, żeby wzór pięknej polszczyzny, który prezentuje red. Grzegorz Jaszu rozpowszechnił się jak najbardz obowiązywał wszystkich.

Ceterum censeo linguam nostr esse purgandam.

Caius

NOTY

TURPISCI REPLIKUJĄ. W n-rze 47 „Na Kultury", konsekwentnie gardząc punkcją, odezwał się Ireneusz Iredy „Traktatem o kazaniu". Według „czas Awangardę ze Skamandrem dził", a „świadomych było tylko par Wilna", więc żagaryści, a siebie sortes, „chłopców", co „chwalą brzy nie Konwencję Piękna" uważa za spa bierców poetów wileńskich... Co prawd widzę powodu, by na obronę turpizmu termin się jednak przyjmie; wzywać na remnie imiona autorów „Ostrza mo „Poomacku" czy „Trzech zim" albo z niczną nonszalancją odzywać się o Wellsie". Widocznie „stary proboszcz „parafii") Przyboś dobrze turpiście sadła za skórę. Ładny wiersz Groche „Ikar" wydaje mi się nieporozumi Zresztą jego autor (moim zdaniem) ni turpistą. Ale wywala otwarte drzwi ciwstawiając piękno „kobiety nad pięknu Ikara i powołując na świad Breugla. Przecież Przybosiowi nie o to dziło. A że piękno jest kształtem mi o tym wiedział już Norwid.

POPIS ERUDYCJI. Wiemy, że Artur M dzyrzecki jest dobrym poetą, a Alicja siecka — dobrym krytykiem, ale czy tego w recenzji „Pięknego zmęczenia" 46 „Życia Literackiego") trzeba było p toczyć aż 20 (słownie dwadzieścia) nazw z literatury francuskiej?...

PRZYBOŚ JAKO „GŁOWA PODWAW SKA" słusznie przypomina w rozmow autorem felietonu Ryszardem Kosińskim Tadeusza Peipera: „to typ genialny, Kotarbiński określił Witkacego (...). P książkę o Zapolskiej o choreografii a że monumentalne dzieło, które ma być kumentem naszej epoki. Kiedy je skon przekaże do Biblioteki Jagiellońskiej z k zulą, że rękopis rozpieczętować wolno piero w roku dwutysiecznym".

ZAMKNIĘTA PRZEZ „PRZEGLĄD KUL RALNY" Biblioteka Człowie Współczesnego ku memu najw szemu zdumieniu nie zawiera w dzial teratury pięknej żadnego dzieła Bolesł Prusa, Stefana Żeromskiego, Lwa Tols Anatola France'a, Johna Steinbecka, berta Wellsa — że wymienimy tu tylko ka nazwisk z tych, które w takiej b tece powinny się znaleźć.

ZACZYNA SIĘ ZWYKLE od pozornie szego: w „Wiadomościach Literack przed wojną sięgałem najpierw po Kron Tygodniową Słonimskiego, w „Przegląd Kulturalnym" obecnie szukam felieto Putramenta i Wańkowicza. Niestety, od ku tygodni nie mogę się napić „Zup gwoździu". Czyżby świetny gawęd znowu wyjechał do córki na drugą po lę?

A CÓŻ TO SIĘ STAŁO „ŻYCIU LITER KIEMU", które począwszy od paździe ka br. podpisuje na karcie tytułowej ty w ten sposób: 14 październik, 21 dziernik itd. 4 listopad, 11 listopad itd grudzień? Przedtem zawsze było pop nie: stycznia, lutego, marca itd. Ktoś „ gramotny" wprowadził tę innowacj adiustator śpi.

-kaj

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena" * Redaguje Kolegium: Waldemar Babinicz, Maria Bechczyc-Rudnicka (redaktor naczelny), Konrad Bie Aleksander Gabrusiewicz, Kazimierz Andrzej Jaworski, Jerzy Pleśniarowicz (sekretarz Kolegium), Anna Tatarkiewicz * Wydawca: Oddział Lubelski Zw Literatów Polskich * Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1c * Telefon 36-45 * Redakcja rękopisów nie odsyła * Warunki prenumeraty: kw zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające sied w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenume przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półro zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Zam. 4858 3.XII.62 D-3